

KOLUMBIA

nr. 3



1.20 zł.

FOSFATYNA FALIERA



IDEALNY POKARM DZIECKA

DA TWEMU DZIECKU
SIŁĘ i ZDROWIE

WARSZAWA GRZYBOWSKA 88.



Czytelniczki

nasze

*prosimy, by żądały
pism kobiecych we
wszystkich kawiarniach,
cukierniach, restauracjach,
czytelniach i t. d.*

Przeziębieniu,
zapaleniu gardła,
grypie
zapobiegają

PASTYLKI
Panflavin



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Chcesz być przyjacielem
swojej córki?

z a p r e n u m e r u j j e j

„Świat Dziewcząt”

Ukazuje się 1-go, 10-go i 20-go każdego miesiąca
i kosztuje w prenumeracie kwartalnej 3 zł. 50 gr.,
półrocznej 6 zł., rocznej 12 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Solec 87
i plac Zamkowy 9.

Egzemplarze pojedyncze są **do nabycia we
wszystkich kioskach z czasopismami.**

Konto P.K.O. 18.800.

**EGZEMPLARZE OKAZOWE wysyła Admini-
stracja po otrzymaniu znaczka pocztowego
za 30 gr.**

Bliscy

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

LENISTWO DO ŻYCIA

Wiele rzeczy zwalamy na zmęczenie, jeszcze więcej na brak czasu, jeszcze więcej na brak pieniędzy. W rezultacie życie przeciętnej jednostki w przeciętnych warunkach okazuje się zwięzione i zwiędłe nieproporcjonalnie do danych, które dysponuje. Cóż dopiero mówić o katastrofie — odwracamy się wtedy od wszystkiego, nastawiając zęby i pazury na obronę zagrożonego odcinka: redukcji, choroby, kłęski serca. Potem, potem, jak się sytuacja rozpląca, można będzie znów się po świecie rozejrzeć, znowu ten świat odmłodzić oczami zobaczyć. I wybrać sobie z niego to, co się najbardziej spodoba. Zdawałoby się: tak jest i to jest słuszne. Tymczasem nie podobno się nie dzieje, a dzieje się wciąż to samo wkółko. Codzienna karuzela obraca się kosztem ciągle tych samych wysiłków, a świat, jak zasypyany pyłem, mierzchnie w oczach. Niema tego świata. Gdzieś tam z innymi dla innych coś się dzieje. Szczęśliwi. Daj im, Boże, zdrowie i siły, albo niech zczeszają niezasłużeni, obdarowani ponad zasługi i wbrew. To już kwestja poglądu na prosperację bliźnich.

Widocznie jednak człowiek ma nieczyste sumienie w sprawie niewyżywania swego szczęścia, bo tłumaczy się, jak oskarżony przed sądem, przed który nikt go nie powołuje.

Każdy przecież, do licha, ma prawo stanowić o sobie w obrębie kodeksu karnego, życiowego no i praw zwyczajowych własnego partykularza: miejsca zamieszkania, środowiska, rodziny i — jeszcze ciałniej — przypadkowej, a dobrowolnej niewoli, w którą się wprzągl. A może pojechaliśmy za daleko? Tak, ostatnie dwa punkty nie zostawiają już miejsca na rozpęd i start. Ale też czyja wina? Przypadku? Biedny przypadek, nosi na barkach jakąś monstrualnie rozrosłą odpowiedzialność.

Dlaczego jednakże człowiek (jeśli spotka mnie zarzut, że nie mówię kobieta, muszę przypomnieć nieco banalnie o człowieczeństwie kobiety), tłumaczy się tak gęsto tym właśnie brakiem czasu, pieniędzy i zmęczeniem? I w jakich wypadkach?

Wtedy przedewszystkiem, kiedy ktoś z jego dalszego otoczenia zapyta wręcz, dlaczego tylu radosnym faktom grodzi płot w swoim życiu? Bliskie otoczenie zwykle takich pytań nie zadaje, bo poprostu życia bliskiego nie widzi, a także boi się, że coś mu będzie odjęte na korzyść swobody rzeczonoego osobnika. Ostatecznie jednak przygodnych naprawiaczy można zbyć krótko.

„Nie czytam, bo nie uznaję współczesnych prądów w literaturze“ (a znasz je, człowieku?). „Nie uprawiam sportów, bo to bezcelowe spędzanie czasu“. „Nie jadę do Zakopanego, bo nie lubię tłoku w podróży“, albo „góry źle na mnie działają“. „Nie chodzę do teatru, bo nie lubię zarywać nocy“. „Nie sprawiam sobie nowej sukni, bo nigdzie nie bywam“ i t. d. i t. d.

Gorzej, jeśli czasem po nocy albo w jakiejś luce dnia powszedniego takie natrętne „dlaczego“ samo ugryzie w serce.

Dlaczego nie zapiszę się do czytelnicy, tylko czytam bzdury, co przypadkowo moi zniosą do domu? Dlaczego nie pójdę raz wreszcie do dentysty, a tracę zęby i chodzę z fluksją? Dlaczego nie poradzę się internisty, kiedy od lat ostre noże krają mi wewnątrz? Dlaczego nie kupię tego ślicznego swetra, kiedy mogę sobie na to pozwolić? Dlaczego zawsze musi być prawdą to, co powie syn, czy córka, czy mąż, a nieprawdą to, co mówi mój własny zdrowy sens? Dlaczego zarzuciłam muzykę, którą miałam w nerwach i palcach? Dlaczego znów wyjedziemy w tym roku

na to samo obmierzłe letnisko? Dlaczego ze łzami patrzę na wesołe mrowisko ślizgawki, a nigdy nie zdobędę się na tupet spróbowania? Dlaczego nie zerwę z ludźmi, którzy życie zmienili mi w bezsensowny bałagan i nie odetchnę błogą samotnością, która w tym wypadku jest dobrem, nie złem? Dlaczego otoczenie chodzi po mnie, jak po zielonej trawce, nawet tego nie widząc? Dlaczego nie wyjadę z tanią wycieczką na wyspy Kanaryjskie, kiedy jeden taki miesiąc byłby więcej wart, niż moich dwadzieścia ubiegłych lat?! Dlaczego w zawodzie, który uprawiam, jestem mędną szarżyzną, kiedy mogłabym wziąć się ostro i pokazać, na co mnie stać. Dlaczego wyrzekam na jałowość tej głupiej prowincji, a nie otworzę w niej żywego, kulturalnego ośrodka? Dlaczego na złość kryzysowi wyrzekłam się pism i książek, a teraz tumanieję z dnia na dzień? Dlaczego porastam w tłuszcz i daję sobie czasowi ryć zmarszczki na twarzy, zamiast zabrać się do odrodzenia swojej urody? Dlaczego zerwałam z ludźmi, którzy wnosili radosny ruch w moje życie? Dlaczego moje poglądy na życie, na sztukę, na politykę są tak oczywiście domowego wypieku i datują się z ubiegłych dziesiątków lat? Dlaczego...

O, to są bardzo miłe pogawędki z własnym sumieniem, bodaj urozmaicały życie naszym wrogom,

Śruba taka jątrzy i zgrzyta, i wyrzuca nas wgórze na concnem łożu w chwili, kiedy już, już miał się zacząć sen, może piękny, może pozwalający zapomnieć.

O tem, że życie jest krótkie. że lata przeżywa się z powolnym mozołem, a spojrzeć wstecz — wszystko zmieściłoby się w kwadransie. że rok 40-ty przeraża tak samo starością, jak ongiś 23-ci. że tylko, zamknąwszy oczy, zasłoniwszy uszy i ścisnąwszy zęby, można znieść terror własnej nieporadności.

Może jesteśmy zdenerwowani, może to poprostu niedyspozycja, te wszystkie natarczywe majaki, te nieproszone „dlaczego“? Zapalić lampę? Wziąć głupią książkę? Zamknąć okno? Otworzyć?

Przedewszystkiem zaś ścisnąć powieki, zdławić nieproszone głosy i zasnąć.

Może różowy świt okryje jaką taką pozłotką niegodziwe, czarne pytania. Śpijmy. Niepodobna tak męczyć się bezcelowo. Musimy przecie nabrać sił, aż do ponownego starcia z głosem sumienia, zagłuszenia najprawdziwszego z praw naszego życia. Musimy przecie nad tym najżywszym z głosów odnieść zwycięstwo lenistwa i bezwładu. Dla tak zwanego świętego spokoju. A propos, któremu z szatanów to bluźnierstwo uszło bezkarnie?

Wanda Borudzka.



Słoneczny dzień zimowy.

(Fot. Poddębski)

JAK BYĆ SZCZĘŚLIWYM W MAŁŻEŃSTWIE?

(Praktyczne rady i wskazówki).

Pod tym tytułem rozpoczynamy druk feljetonów Magdaleny Samozwaniec, mistrzyni ironicznego paradoksu. W lekkiej formie, pełnej finezji i humoru, zamawia autorka cenny materiał faktyczny, który niewątpliwie posłuży naszym Czytelnikom za punkt wyjścia do ożywionej dyskusji.

REDAKCJA.

Napoleon I.

„Gdyby mężczyzna nie miał się zestarzeć, nie życzyłbym mu wogóle małżeństwa“.

Balzac:

„Małżeństwo jest umiejętnością“.

WSTEP.

Od czasu nieocenionej „Fizjologii Małżeństwa“ Balzac'a dużo czasu upłynęło, a marzenia tego wielkiego reformatora pożycia małżeńskiego, tak niedościgłe wówczas, weszły dziś w życie drogą ewolucji i postępu: panny flirtują przed ślubem (jak pan Balzac przykazał). Jego nieśmiałe życzenie, żeby małżeństwa sypiały oddzielnie, jest dziś częstym wypadkiem. „Proroki“ nie rodzą się co roku, jak to dawniej bywało, a panowie w wieku balzakowskim (to znaczy takim, jaki miał Balzac, pisząc swoją Fizjologję), nie sypiają w szlafmycach, lub fularach na głowie, co im ten wielki pisarz miał tak bardzo za złe.

Balzac w swoim dziele zajmuje się przeważnie nieuniknioną według niego zdradą żony, przeciwko której podaje mężom wiele drogocennych rad i wskazówek. Ten genialny humorysta rozumiał doskonale, że niemożliwą rzeczą dla kobiety było nie zdradzić takiej „baby-dziada“ w szlafmycy, w długiej nocnej koszuli, śmiesznego nocnego Marka, włóczącego się po korytarzach ze świeczką, jak nam to pokazują starożytnie karykatury i sztychy. Ówczesne żony, też nie były tak atraktywne, jak dzisiejsze. Nosiły one kaftaniki, wysoko zapięte pod szyją, a na głowie czepce. Wiadomo jednak, że kobieca uroda ma taką siłę promieniowania, że najcnotliwsze płótna i najmniej przezroczyście perkalę zawsze jeszcze ją przepuszczają. Balzakowski mąż zaplątany w długie giezło i fulary, wyglądający raczej na jakąś kuzynkę swojej matki, do którego żona mogła była zawołać słowami Boya: „Moja pieścizmo, bądźże mi choć ciotką“, nakazane miał zgóry przez swojego ojca, żeby „nie robić z żony kochanki“. To pobożne życzenie ojcowskie doniedawna jeszcze miało wśród młodych mężów wielu zwolenników. Cóż więc miała robić dawna śliczna mężateczka, jeśli nie znaleźć sobie amanta, który, romantycznie zakradając się podczas nieobecności pana domu do jej alkowy, pięknie ubrany, utrefiony i „larendograw“ skropiony, w niczem nie przypominał ślubnej „ciociobabki“ w szlafmycy. Męż-

czyźnie zawsze, jeśli chodziło o małżeństwo, przypadało prawo wyboru, pannę poprostu rodzice wydawali za mąż. Urządzali za jej plecami istne Targi Wschodnie, tłumacząc jej pobożnie, że „mąż i żona od Boga przeznaczona“, poczem wiedli to niewinne białe jagnię do ołtarza, zacierając ręce, że dwa majątki, dwa stare nazwiska, lub dwa dobrze prosperujące sklepy połączą ze sobą. Niewiniątko niebardzo się bronilo, co prawda małżeństwo miało dla panien zawsze nieodparty urok, nawet jeśli kandydatem był pan starszy, lub pan łysy. Oprócz własnego domu i własnych mebli dawało małżeństwo jeszcze i inne poboczne przyjemności, jak to, że się będzie nareszcie dorosłą osobą, że się będzie mogło wszystko czytać, a w powozie będzie się siedziało na głównym siedzeniu, nie jak dotąd na małej ławeczce. Handel niewolnicami kwitł, jeśli chodziło o małżeństwo, w tych dawnych nieprzyzwoitych czasach, (z tą tylko różnicą, że się nabywcy do towaru jeszcze dopłacało). Niewolnica pokorna i potulna, porósłszy w małżeńską pierzynę, nabierała z wolna pewności siebie, stawała się królową, wymagającą dla siebie honorów, atencji, powozów i biżuterji. W majątnych domach taka królowa-matka dostawała za każdego bachora (a co rok, to prorok) jakąś kosztowną biżuterję. (Klnę się na zaślinioną brodę takiego „proroka“, że u jednej starszej damy sterczały na wszystkich palcach „urodzinowe“ pierścionki, a ona, rachując na owych palcach, mówiła: „ten za Jacusia, ten za Melasię, ten za Pawelka“ etc.). Żona rozrastała się, rozwijała, ninożyła, a mąż kurczył się, malał, wkońcu stawał się dla niej, tak jak określił jeden Francuz, „un domestique donné par la nature“. Dziś, kiedy małżeństwa z woli rodziców są coraz rzadsze, kiedy nikt nikogo nie kupuje i nie nikomu nie jest „winien“, kiedy mężowie chodzą spać bez szlafmycy, a młodzi pobierają się „aus purer Liebe“ albo „aus purer Phantasie“, zdrada żony nie jest rzeczą konieczną i zgóry przewidzianą, jak za czasów Balzac'a. Mąż, tak zwany: „cocu“, ośmieszony przez lekką literaturę francuską biedaczysko, który nie zdradzał swojej żony z braku powodzenia u kobiet, też wyszedł dzisiaj z obiegu. Dzisiejsze małżeństwa albo się zdradzają nawzajem, i nie mają sobie nic do wyrzucenia, albo też rozchodzą się, żeby się ożenić po raz drugi. Wielkie tragedje mał-

żeńskie, jeśli się dziś zdarzają, to zwykle na tle finansowych katastrof, a nie uczuciowych. Najnowszy zaś model małżeństwa to małżeństwo sportowo-koleżeńskie, gdzie narty i kajaki zastępują (do czasu) smoczki i kołyski, a wzajemna przyjaźń zastępuje z powodzeniem dawny „obopólny szacunek“. Inna kwestja, że w sportowej żonie-koleżance też zaczyna z biegiem lat rosnać, jak w piecu, „baba“, a w mężu-koleździe, mężczyzna, który zaczyna się rozglądać za innymi „kajakiniami“ i narciarkami, ale wszystko to razem nie jest groźne i w niczem nie przypomina dawnych nieszczęśliwych małżeństw, które ciągnęły ciężkie życie, jak dwa gryzące się konie w jednym zaprzęgu. Dla tego nowego typu małżeństw postaraliśmy się (pisarze serjo piszą zawsze o sobie „my“) zebrać wiele cennych spostrzeżeń, rad i wskazówek, które mogą, jeśli nie wiele dobrego zdziałać, to w każdym razie wywołać zastanowienie, łącznie z pogodnym uśmiechem.

WADY I ZALETY MAŁŻEŃSKIEJ INSTYTUCJI.

Pewien chłopiec, gdy nauczyciel zapytał się go w szkole, jakie są grzechy główne, odpowiedział bez wahania: „łakomstwo, małżeństwo i świństwo“. To jest oczywiście anegdota, ale czyż małżeństwo w wielu wypadkach nie jest naprawdę ciężkim grzechem? Małżeństwa ludzi chorych, a poza tem tak zwane małżeństwa z rozsądku, można śmiało zaliczyć do tej kategorii. W życiu zwierząt istnieją podobno wszystkie seksualne zbożenia, nie istnieje tylko jedno, miłość interesowna, kojarzenie się dla poprawienia sobie bytu. Gdyby naprzykład stara chora jaskółka miała najlepiej urządzone i zaopatrzone gniazdko, nie będzie mieć przez to większego powodzenia u jaskółczych samców, jakby to mogło się zdarzyć u ludzi. Snobizm i lecenie na czyjś majątek, oto częste motory oświadczyń. Ktoś powiedział kiedyś słusznie, że małżeństwo zostało wymyślone dla kobiet i dzieci. Wszystkie kobiety dążą do małżeństwa, wszyscy mężczyźni do romansu. Najmądrzejsza kochanka będzie zawsze pod tym względem niepewnym przyjacielem mężczyzny. Być na starość legalnie utrzymywaną przez mężczyznę, oto ciche marzenie każdej kobiety. Ilość uwiedzionych na małżeństwo młodych chłopców jest napewno nie mniejsza, niż ilość uwiedzionych

przez nich na romans młodych dziewcząt. Uwiedzionych na małżeństwo młodych ludzi nikt nie żałuje, chociaż są nieraz tak bardzo pożałowania godni. Żenią się nieraz tylko przez uczciwość z chytrem, a dramatyzującym dziewczęciem, często zupełnie dla nich nieodpowiedniem, jako sfera i kultura, a doszedłszy później do poważnego i odpowiedzialnego stanowiska, muszą przez całe życie iść koło ordynarnego babsztyla, plotkującej kumoski, jakiejś „sabat-mater”, która utrudnia im stosunki z ludźmi i ciężką wspinaczkę ku świetnej karierze. Żenić powinni się ludzie albo tuż przed, albo po trzydziestce, bo wtedy mniej więcej zdają sobie sprawę z doniosłości tego zdarzenia. Małżeństwa niedorostków zwykle kończą się smutno, albo następuje rozwód (słowo pochodzące zapewne od rozwodnienia obopólnych uczuć) albo też są całe życie ze sobą nieszczęśliwi. Gdyby do zawierania ślubów było nałożonych tyle trudności, co (nawet dziś) do „zawierania” rozwodów, to ilość obrońców konsystorskich zmniejszyłaby się do minimum. Trzeba wziąć pod uwagę, że małżeństwo, jako takie, w świecie zwierzęcym nie istnieje właściwie wcale. Dozgonną wierność małżeńską obserwować można tylko u parki zamkniętej w jednej klatce w jakimś ogrodzie zoologicznym. W dżungli, na swobodzie o żadnych małżeństwach niema mowy, każda papużka może być chwilową żoną papuziego samca, każdy lew, przygodnym mężem lwicy. I właśnie dlatego, że małżeństwo jest tak ściśle ludzkim wynalazkiem, zawierać powinny je osobniki antyzwierzęce, posiadające trochę kultury i inteligencji. Jak wyglądają małżeństwa takich des „bêtes humaines”, wiemy dobrze z rubryki zbrodni w codziennych piśmie. Mąż pijak zabija żonę, ojciec litościwy topi, jak kota, własnego synka, tłumacząc się potem w

sądzie, że to wina kryzysu i t. d. Szczególnie zabijanie własnych żon weszło tak u tego rodzaju ludzkich zwierząt w modę, że do przysięgi ślubnej powinno być dodane: „A iż cię nie zabiję aż do śmierci — amen!”

Kobiety, jak już wspomnieliśmy, lubią wychodzić zamaż, nie można im się zupełnie dziwić, ponieważ w normalnych warunkach ciągną one z tej instytucji daleko większe beneficja niż mężczyźni. Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy kobiet jest tak dużo i przeważnie samych ładnych, mieć zawsze kogoś, który odprowadzi do domu i zapłaci za kawę, jest rzeczą przyjemną i praktyczną. Poza to małżeństwo jest trochę tak, jak okręt, trudno mężowi z niego uciec, nawet gdy się najbardziej obrazi i pogniewa, zawsze musi wrócić do domu, gdzie ma swoje rzeczy we wspólnej szafie. Kobiety nie powinny zapominać, że mężczyzna przez swoją fizyczną naturę nie jest zupełnie do małżeństwa i wierności stworzony, wprost przeciwnie, i że małżeństwo zadaje gwałt całej jego wielożennej naturze. Jako kawaler, miał on różne, dłuższe lub krótsze, romanse (czasem po kilka naraz), które kończyły się bez adwokata i często bez zgody obu stron. Gdy się ożeni, każą mu nagle zmienić zupełnie tryb życia z dżungli, musi „żyć” w tych samych warunkach, ciągle z jedną i tą samą, która tak, jak każda kobieta mogła mu się poprostu fizycznie sprzykrzyć. Każde uczucie ma tak samo, jak każda rzecz w przyrodzie, swój okres pączkowania, dojrzewania i przekwitania. Gdyby zostawić wolną rękę przyrodzie, to każda miłość trwałaby tak długo, jak dojrzewanie, owocowanie i przekwitanie na przykład poziomki. Ale tak samo, jak kultura ogrodnicza doprowadziła do tego, że są poziomki, które kwitną i dojrzewają poraz drugi na jesieni, tak samo kultura miłości po-

winna doprowadzać do tego, żeby każde uczucie po czasowym przekwitnięciu zakwitło na nowo. Ale do tego, podobnie jak dla poziomki jesiennej, potrzeba ciepła. A ciepło w miłości to nie „szał namiętności”, który można „między filmy wbiżyć”, ale zrozumienie drugiego i serdeczność, której tak często w małżeństwie brakuje. U długoletnich kochanków powroty uczucia szczególnie po dłuższym niewidzeniu się są bardzo częstym wypadkiem. Miłość to „cygańskie dziecię”, które nie znosi za wielkich wygod i ułatwień. To tak trochę, jak gdyby się taternika chciało wozić na szczyty kolejką, odrazuby mu się taternictwa odechciało, a piękne widoki górskie dostępne, ułatwione, straciłyby dla niego zupełnie na uroku. Ślub, błogosławieństwo ciotek i babek, to dla miłości taka własna kolejka.

Pozatem nad małżeńskim łóżem nie wisi wypisane, jakby to mogło być w gnieździe kochanków: „Śmiejmy się, może nasza miłość potrwa jeszcze tylko dwa tygodnie”, ale mrozące krew w żyłach, straszne, jak jakiego memento mori: „na zawsze!”. Wszystko na ziemi jest niepewne i nietrwałe; świetnie prosperujące miasta, urządzone jak najbardziej „na zawsze”, zmiotane bywają z powierzchni ziemi przez żywiołowe katastrofy. Lodowce na oceanie miazdzą najsilniejsze, na oko niezniszczalne, transatlantyki, jedno tylko małżeństwo ma być wyjęte z pod ogólnego prawa, jako nierozzerwalne, niezniszczalne, chyba przez śmierć jednego z małżonków. Dzisiaj, kiedy coraz bardziej wchodzące w życie rozwody zostawiają zawsze wółprzymkniętą furtkę do ucieczki, ilość udanych, lubiących się małżeństw wzrosnie napewno, mimo, że ponure określenie: „moja dozgonna połowa” wyjdzie zupełnie z użycia. (D. c. n.)

Magdalena Samozwaniec.

KOCHANEK Z POMNIKA

Unosi nas pociąg pośpieszny w czarną czeluść przestrzeni. Fioletowy mrok żarówki nocnej. Nieuchwytny koncert: trzask drzewa, zgrzyt żelastwa, ciężki rytm kół. Jest nas kilkoro osób w przedziale. Drzemiemy, albo marzymy. O czym? Co nam się śni?

— Moje życie długo podobne było do czarnej czeluści. Lecz pęd, który mnie poprzez lata unosił, nie był wartki. Ciężkie były, pracowite i trudne lata dzieciństwa.

Drobna, siwiutka pani wtula głowę w kął, między deskami wozu, ten pod oknem. Czemu pociąg rwie naprzód. A myśl wstecz?

Moja mała królowo, nie męcz się tak. Idź już spać — mówi matka. — Nie mogłam nigdy znaleźć spoczynku we właściwej porze. Od dwunastoletniego dziecka miałam noce, pełne zgrzytu pióra. Rozpisywałam role dla teatru. Przepisywałam akta z kancelaryj. Siostry moje, tłukące dniem w żelazną klawiaturę maszyn... jakżeście szczęśliwe!

Ależ i ja bywałam, czasem, szczęśliwa. Czasem, kiedy matka cierpiała mniej; po środku nasennym zamknęła oczy. Wtedy, niby, rozumiałam nagle to, co piszę:

Począł mówić, że poznał mnie po róż zapachu,

że mu wchodzące słońce powiedziało o mnie...

Bo właśnie wydano mi z teatru Mazepę. Rolę Amelji. Nad temi to wierszami wreszcie i ja zasnęłam. Zobaczyłam siebie w długiej, czarnej, ciężkiej sukni z białym, sztywnym kołnierzem. Jak wachlarz z koronki rozpinał się za moją głową. Głowa zaś dźwigała czarne, długie loki. Szłam o świącie, bladym jeszcze, ścieżką, pełną róż. W zaroślach klaskał ostatni słowik.

Dźwięcznie obracają się koła. To czujemy się w dal. O szczęście! Rano będziemy w Pradze. Teraz, bladziutki świt. Jak we śnie.

...A tam, za kępą bzów, dawno okwitłych, czekał, we śnie, ktoś. Ale kto? Nie wiem. Dość, że biło mi serce pod czarną, ciężką suknią adamaszkową.

Skończyłam szóstą klasę i wyszłam zamaż za pana, który mieszkał na tem samem podwórku. Pan rejent. Stary kawaler. Brzydki. W mojem rozumieniu przynajmniej mężczyzna łysy i dobrej tuszy jest bardzo brzydki. Raz mi się rozsypały książki pod oknem pana rejenta. Wychodził z domu. Pomógł mi je zebrać mimo swej dobrej tuszy. A potem złożył wizytę mamusi i oświadczył się o mnie. Ale mamusia nie dożyła naszego ślubu.

Ja nie byłam dobrej tuszy. Byłam zawsze szczuplutka i miałam ogromne, czarne, kręjące się włosy. I miałam taki zwyczaj — przysiąść, zniecka, na stole, albo na poręczy fotela. Jakbym spadła z nieba. Jakbym była ptakiem, który odpocznie chwilę i polecą.

Edward ucieszył się mną bardzo, kiedy mu tak pierwszy raz u niego przysiadłam na stole, w swej czarnej, żalobnej sukience. Chciał mnie ze stołu zdjąć, ale ja czmychnęłam na wielką otomanę. Sprężyny zginały się pode mną niewiele mocniej, niż przed kilkoma laty, gdy lubiłam jeszcze tańczyć na kanapie. „Bo kanapa, mój Edwardzie, to przecież okręt, na którym się tańczy!”

Edward cieszył się mną w nieskończoność. Ja go bardzo lubiłam. I bardzo byłam wdzięczna. Trzeba wiedzieć: to miło jest czuć, że jest się dla kogo majem, i rajem, i wiosną. Edward umiał o tem jakiś wierszyk. Umiał dużo wierszy. Wygrywał na fortepianie kurant ze Strasznegu Dworu i różne kujawiaki.

Biedny Edward! Był o mnie tak okropnie zazdrosny. Jak można tak? Nie wiem! Gdy kto pogadał ze mną dłużej w salonie, widziałam, że mieni się. Wracal potem ze mną do domu zupełnie milczący. I nic, długie godziny, nie rozmawiał.

Raz, gdy ktoś, żartem przecież, wznosił zdrowie najpiękniejszej z pań (a to było moje zdrowie!), porwał się wtem, chwycił mnie za rękę, uprowadził od stołu... Ludzie byli zdumieni, rozumie się! Gospodyni nie zdążyła wybiec za nami do przedpokoju, gdy Edward zarzucił już na mnie płaszczyk i sprowadzał do dorożki. Ludzie, zapewne, współczuli mi. Zwłaszcza, że nie mieliśmy dzieci. Ja unikałam cieplejszej rozmowy.

Przyjechała siostra cioteczna Edwarda. Bardzo mnie polubiła. Obejrzała nasze mieszkanie. Wszystko ładne i w porządku. A potem, gdy siadłyśmy w saloniku pod lampą z zielonym abażurem w czarne smoki, spytała mnie bardzo serdecznie:

— Powiedz Hanulko, czy ty jesteś szczęśliwa?

Przestraszyłam się. Odpowiedziałam prędko, prędziutko:

— O tak! Edward jest bardzo dobry dla mnie. Pozwól, Grażyno, zaparzę ci świeżej kawy.

Edward nie lubił adwokata R. Zmiarkowałam wkrótce, że nie lubi każdego, kto poczęstował mnie herbatnikami, podał mi palto, podniósł wachlarzyk. Staral się zawsze sam podsuwać mi łakocie, odziewać i podnosić chusteczkę czy wachlarzyk. Staral się zawsze sam wystarczać.

— Mój drogi Edziu! — przemówiłam wreszcie. Po raz pierwszy to zdecydowałam się na przemowę po niefortunnym toaście. — Widzę, że cię bardzo dużo kosztuje z odłudka robić się dla mnie światowcem i znosić różne koncepty salonowe...

Był wciąż jeszcze przygnębiony, zawstydzony tem, co wtedy zaszło.

— A ty mi nie wierzysz, że i ja nie znajduję żadnej przyjemności w takim życiu. Przecież do tego nie przywykłam. To mnie męczy, wierz mi!

Spojrzał nieufny.

— Nie poto się ożeniłem, żebym nikomu żony nie pokazywał.

Pokazywał mnie więc dalej, doskonale ubraną i piękną. Co to był za odwet życiowy? Nie wiem. Dość, że mordował się swoją zemstą nad nieznanym wrogiem. To, szczęściem, przyszła mu wnet potem fantazja podróžowania. Miał odbyć kurację w Karlsbadzie, ja we Franzensbadzie. Lecz Edward po dwóch tygodniach przerwał zabiegi dokoła swego zdrowia i zjechał do Franzensbadu. Moje listy wydały mu się zbyt krótkie i pogodne. Osiedliłam się z nim w Karlsbadzie. Tam dużo widać panów łysych i bardzo dobrej tuszy. Edward uspokoił się.

Zachciało mu się potem wracać na Pragę czeską. Chętnie! Praga była wszak miastem królowej Libuszy i Tetki. A był wtedy dla niektórych rzeczą mody u nas wytworny przekład pism Juljusza Zeyera. O Libuszy i Tetce.

— Pozwól, Edwardzie... kupię tu jedną białą różę.

— Różę?! POCO ci ta róża? — zaniepokoił się wtem, jakby niebezpieczeństwo czyhało w tem właśnie, że jedna. I biała.

— Pojedziemy przecież na Wyszehrad?

— Aha... naznaczyłaś tam rendez-vous temu młokosowi, co z nami jechał?

Nie wiedzieć, jak się stało, ale zaczerwieniłam się.

— Ależ... Edziu! Różę tę chciałam kupić na grób Zeyera.

— Cóż za sentymentalizm! — ruszył ramionami.

Siekl drobniutki deszczyk. Edwardowi nie chciało się więc odległej wycieczki.

Najpiękniejszy
i najpopularniejszy

W POLSCE ILLUSTROWANY
TYGODNIK FILMOWY

„KINO“

PRZYNOŚI CO ŚRODĘ NAJAKTUALNIEJSZE
WIĘŚCI ZE ŚWIATA FILMU.

Najpiękniejsze fotografie artystów
Najlepsze artykuły, wywiady
i korespondencje
Artystyczne kolorowe ilustracje
Najświeższe wiadomości z Hollywood

CENA 50 GROSZY.

— To pojedę sama.

— A!

Za chwilę był gotów. Na cmentarzu, serjo, rozglądał się, jakby kogo szukał. Zatknęłam białą różę za łańcuszek żarnicy u tafli grobowego, czarnego marmuru.

— Chodź już, chodź! Zaziębisz się! zaziębisz! — Wyciągał mnie z panteonu. O kogo znów zazdrosny?

W niedzielę była pogoda. Poszliśmy w stronę Petrzyna, górą parkową. Za wstęgą chabrową Welta wy drżało wibracją przestrzenną miasto, wyzłocone pyłem słonecznym. Praha „stowieżata“, sędziwa. Bardzo mi droga. Coś, jak rodzona. Czemu?

Ogromnie czułam się sama i je-sienna w tym dwudziestym czwartym roku swego życia. Radabym jednak po tym parku brnąć... realnie sama. Wtem posłyszałam ostry dzwon własnego serca. Podniosłam oczy wysoko, wysoko, pod sień sklepioną drzew.

Tam stał pomnik. Nie wiedziałam wtedy, czyj pomnik. Alegorja może? Uderzył mnie uśmiech pomnika, świeży, jak maj. Pozdrowił mnie ktoś piękny i pełen słonecznej zadumy, z wyżynokoła. Pozdrowił mnie gałęzią bzu, którą trzymał w ręce, pełną woni. Co za domyślność! Wiedzieć, że to bez, i że pachnie. Przecież to tylko czarniawy jakiś kamień!

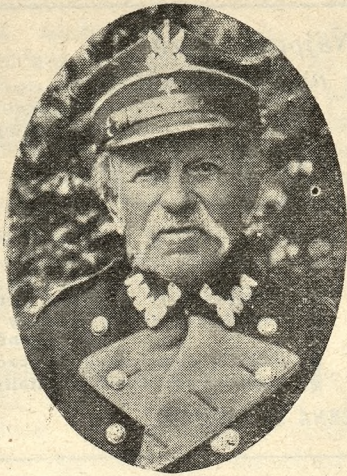
Wtem zbudził mnie z radosnego zachwytu głos Edwarda: — Bardzo, w istocie, podobny ten pomnik do naszego towarzysza podróży. Bardzo.

Do towarzysza podróży? Bo ja wiem? Jechał z nami kawałek drogi, nocą, jakiś młodzieńczyk. Nie przyjrzałam się rysom. Owszem, wiem, że uśmiechnął się, biorąc walizczkę swoją z siatki, w Bratisławie. Nie wrócił więcej. Drugi raz wypomniał mi Edward młodzieńczyka.

— Ale jabym chciała wiedzieć, mój Edziu, kto to jest na tym pomniku? A nie, do kogo podobny.

Zofja Reutt-Witkowska
(D. c. n.)

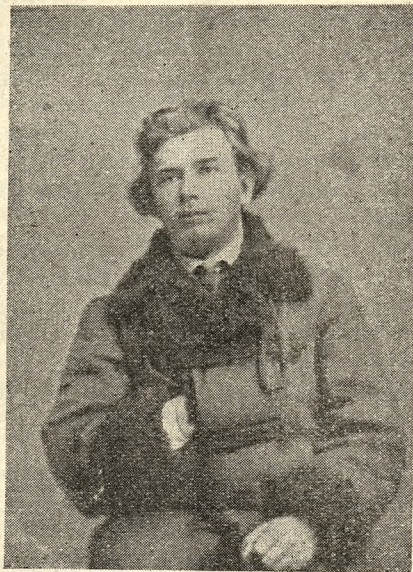
DOM NA PRADZE



Franciszek Rzewuski.
Weteran z 1863 r.



Jan Niewiarowski.
Weteran z 1863 r.



Władysław Daniłowski.

Najpierw są wysokie, kamienne, poobijane schody, po których mozolnie trzeba się pięć pod górę. Drzwi ciężkie, zdają się być zamknięte „na mur“, okazuje się jednak, że za najmniejszym poruszeniem klamki otwierają się szeroko i gościnnie, wpuszczając mnie do obszernej mrocznej sieni. Cicho tu jest zupełnie, tylko słychać moje niepełne kroki na kamiennej posadzce. Jeszcze jedna kondygnacja schodów prowadzi w głąb, a potem na prawo i na lewo. Gdzie pójść? Stoję bezradna, gdy nagle wychynał z mroku mały, okrągły staruszek, uosobienie uprzejmości i powiadomił mnie, że jeżeli do pani Kierowniczki, to schodami na lewo.

Oczywiście pędzę schodami na lewo, bo gdzieżbym dała sobie sama radę w tem państwie ciszy i dawnych wspomnień, w tej atmosferze wzruszenia, jakie opanowuje każdego, kto wstąpi w progi Schroniska Weteranów. Nie pomoże tu żaden na pomoc wzywany cynizm, ani gwałtowne poczucie rzeczywistości, że oto tych 7-iu dziadków (bo 7-iu ich tylko zostało), to szczątki jeno dawnych wzlotów, dawnego młodzieńczego bohaterstwa.

Gdy idę za chwilę w towarzystwie kierowniczki Schroniska, pani Hopperowej, po miękkim chodniku, wyścielającym korytarz, pomimowoli zniżam głos do szeptu, taka mnie napęlnia solenność. Pokolei uchylamy drzwi do maleńkich pokoików. W każdym z nich białe łóżko, a nad niem ciemny krucyfiks, granatowy mundur weterański, błyskający licznymi krzyżami i orderami, zawieszony na krześle i... siwa głowa, złożona na poduszce. O tej porze, o 3-ciej po południu dziadziowie odpoczywają po obiedzie i pod żadnym pozorem nie można im przerywać snu.

Wszędzie też jest bardzo cicho, tylko gdzieś, zza którychś tam szczel-

nie zamkniętych drzwi sęczy się cichutka muzyczka radja. Jeden z dziadziów nie śpi. Z cichem pukaniem uchylamy drzwi: na jasnym kwadracie okna siwa głowa, pochylona w zadumie, obok zagmatwana arabeska gałązek maleńkiej choinki, stojącej na stole. Pachnie sosna i ciepło, dźwięczy cisza i muzyczka radja nuci kolendy.

— Za chwilę wszyscy wstaną i pokażę pani tę żywą kronikę powstania styczniowego — mówi pani Hopperowa, — narazie wstąpimy jeszcze do świetlicy, która dopiero od kilku lat została należycie urządzona.

Idąc, mijamy drzwi ciche zupełnie i zupełnie ciemne.



Henryka Daniłowska.

— Co to?

— To pokoje puste. Lokatorowie ich powymierali. Dziwne to, że w Schronisku śmierć nie jest ani straszna, ani ponura. Oczekuje się jej z dnia na dzień, wita ze spokojem i równowagą. Czasem tylko jakiś staruszek zapłacze nad śmiercią serdecznego przyjaciela. Dwóch było takich rozmówianych w sobie, nierozłącznych. Gdy jeden zachorował, drugi natychmiast również położył się do łóżka. — Co to, ja gorzszy — mówił, — to ja mniej krwi za Polskę przelałem. — Książd z Panem Bogiem musiał przyjść jednocześnie do obydwoh, i rzeczywiście, jednocześnie prawie oczy zamknęli.

Jakże, służyli przecież razem pod Langiewiczem, nie mogli się rozstać.

Raz tylko śmierć zrobiła na wszystkich jednakowe wrażenie; było to wówczas, gdy umarła jedyna kobieta-weteranka, pani Henryka Daniłowska. Nie była ona nikim w rodzaju Pustowojtówny, nie walczyła w partji; jako żona rosyjskiego urzędnika, była kurjerem dyplomatycznym, emisariuszką, dzielną towarzyszką i najmilszym kolegą. Tak już widać bohaterstwo weszło mocno w tę rodzinę, bo krewny jej, Władysław Daniłowski, zginął w powstaniu, a bratanek jego znany literat, Gustaw, wiemy wszyscy, jak wiele czynił w roku 1905. Bohaterstwo jest czasem jakby przywilejem rodowym.

W Schronisku pozostała do dziś pamięć o Henryce Daniłowskiej, cichej staruszce, o której wszyscy jeszcze mówią z głębokim żalem; w stosie zaś fotografii, starych listów, wycinków z pism, odnalazłam poźółkłą podobiznę Władysława Daniłowskiego. Spojrzały na mnie oczy młode, o jakimś twardym, mocnym wyrazie, a jednocześnie po chłopięcemu rozmarzone. Oczy powstańca. Żywe oczy weteranów patrzą na mnie dobrotliwie i jakby z domiesz-

ką pobłażliwości. Zebrali się oto wokoło świecącej i pachnącej choinki, patrzą na mnie wyblakłymi, starczemi oczami.

— Proszę pytać.

Zagmatwały mi się wszystkie słowa; jakże tu pytać o sprawy im najdroższe i najbliższe, jak o zwykłe reporterskie ciekawostki?

Powiedziałam ni z tego, ni z owego, że Szpotański napisał opowiadanie o Pustowojtównie. Czy tak było naprawdę?

— Ależ gdzież, zupełnie, zupełnie inaczej — podniosły się drżące, obu-

rzne głosy: — Ja służyłem pod Langiewiczem.

— Ja znałem Pustowojtównę.

— Ja samego „pana“ Traugutta.

— Ja byłem pod Lelewelem, siedziałem w austriackim więzieniu, na Sybir poszedłem.

Staruszkom rozwiązały się usta; tylko słuchać i myśleć... i brać w serce tę przeszłość nagle odżyłą.

Choinka pachnie mocno, migoce kolorowymi lampkami, osypuje z ciichym szelestem igiełki po podłodze. „Najmłodszy“ z weteranów, Tar-

nawski (87 lat) opowiada ze swadą swoje dzieje.

Nagle pada z jego ust dziecinne słowo „mamusia“. Starcze oczy zwilgotniały. Matka — jakie dziwne i smętne jednocześnie słowo w Schronisku starców.

Każdy mówi:

— Matka dała mi krzyżyk i błogosławiła — mama...

Słucham i chwytam mnie za gardło wzruszenie. O, dziwne słowo, które dla tych ludzi, stojących nad grobem, jest zawsze pełne barwy i życia. *Zofja Miszevska.*

PODWARSZAWSKY PIONIERZY

...Na początku była kupa kamieni... Nie, to nie tak. Na początku było bardzo wysokie komorne (coś około 340 zł. miesięcznie), a potem, gdy przyszły pierwsze redukcje pensyj, żalostnej pamięci sublokatorstwo.

Z owych czasów zachowałem w pamięci wieczne skrępowanie. Chodziliśmy potulnie, jak myszki, bez szemrania płaciliśmy haracz — chciałem powiedzieć: czynsz i wszelkie dodatki za wodę, gaz, elektryczność i nieomal że za telefon...

W tych to ponurych dniach w ręce nasze wpadła wzmianka o powstaniu nowego osiedla w pobliżu Warszawy. Osiedle „budowało się“ na piaszczystym terenie, w zagajniku sosnowym, tuż przy starym lesie. Komunikacja odbywała się przy pomocy autobusów.

Tak w połowie listopada wybraliśmy się trochę tramwajem, a trochę pieszo na owo osiedle. Bo daleko to nie jest: jakieś 3 do 4 kilometrów od rogatki.

Spodobało się nam, co tu dużo mówić. Domki drewniane, wcale formenne, ładnie ogrodzone, prawdziwy zagajnik przy nich, ulice żwirowane, oświetlone elektrycznością... Wieś, a zarazem miasto! Niech się Warszawa schowa.

Wynajęliśmy domek 3-pokojowy w cenie (można się przyznać!) 76 zł. miesięcznie. Jego posiadacz trochę nas „wykiwał“, sufity bowiem zostały otynkowane w przeddzień przeprowadzki, ale to się prawie nie liczy. Bo że tam pościel w pierwszych dniach była wilgotna a książki trochę ucierpiał... — w czasie wojny, w okopach, było gorzej, pocieszałem swą żonę, gdy w mokrawem

łóżku płacząc z rozpaczy, załamywała ręce.

W dodatku był kram z meblami. Wprawdzie drogi nasze są żwirowane, reprezentacyjne, lecz tylko dla samochodów o dętkach, a więc przeważnie osobowych (bo i tacy posiadacze u nas mieszkają!). Wozu więc meblowego nie wpuścili, tak, jak później nie wpuścili wozu z węglem. I meble, i węgiel trzeba było przenosić na plecach lub przewozić małym, ręcznym wózkiem.

Zrazu nie było elektryczności i posiłkowaliśmy się świecami. Plamy od stearyny były w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Potem i ten dopust boży minął i nadeszła wiosna.

W lesie śpiewały słowiki, kwitły konwalje i czeremcha. Lecz (przeklęte słówko!) część mieszkańców osiedle wylamywała całe naręcza gałęzi obsypanych delikatnem, pachnącem kwieciem, inni zaś usiłowali przeplancować leśną konwalję do swych ogródków. I jak tu mówić, że Polacy nie mają zamiłowania do przyrody?



...zaczęło zwozić gruz na fundamenty...

Wieczorem i w święta chodziliśmy do lasu na spacer. Było cudownie. Co kilkanaście kroków pod krzakiem spotykało się grupy ludzi, grających w karty. Szalałem z radości (jako dobry obywatel), widząc powodzenie monopolu spirytusowego.

Teraz, niestety, las ogrodzony jest parkanem z drutu kolczastego. W lecie ma być pobierana opłata za wstęp i las zaawansuje do godności parku narodowego, bo jest w nim kilka sztuk czarnej brzozy i zabito dwie żmije.

Pomijam inne emocje, związane z komunikacją autobusową, bo to jest temat dla humorysty, oraz pożar części zagajnika, to się zdarza wszędzie. Wstrząsnęła nami natomiast wiadomość, że osiedle będzie się rozbudowywać, że kto czuje się na siłach, (pieniężnie, oczywiście) może się zapisać.

Tak też się stało. Nie czułem się wprawdzie zbyt „na siłach“, ale czego człowiek nie robi dla własnego dachu nad głową? Od czegoż wreszcie staropolskie „jakoś to będzie“?

Dalej poszło jak zwykle w takich razach. Odbyło się walne zebranie i wybrano zapropionowany nam, udziałowcom, zarząd. Potem kazano wpłacić pierwszą kwotę i wybierać działki z tego, co jeszcze nie zostało wybrane. Przez wszystkie te rafa przebrnęliśmy względnie pomyślnie.

Wszystkich, odwiedzających nas, znajomych i krewnych, prowadziliśmy na naszą działkę.

— Czy ładna, czy duża?

— Teren nierówny — powiada jakiś sceptyk.

— W tem właśnie jego urok — wykrzyknęliśmy



...na początku
była kupa ka-
mieni...

...niveLOWANO
drogi...

...założono ka-
nalizację...

...zwieziono
żwir...

...trzecie osiedle
jest murowane...



zgodnie. — A żona dodała:

— Tu są dzikie króliki i rosną na-
wet muchomory!

Zwolna posuwała się robota. Naj-
pierw w zagajniku wycięto drogi,
potem je zniwelowano, potem wy-
łożono grubymi balami i zaczęto
zwozić gruz z pobliskiego fortu na
fundamenty. Gruz potłuczono na
szuter, używany do budowy szos.

Następnie wykopano fundamenty
i przy pomocy cementu zrobiono
„betonowe wręby“, na których mia-
ło się w przyszłości wesprzeć gnia-
zdo rodu. Tymczasem w dalekim
tartaku składano nasz domek.

Nie mogliśmy się doczekać wy-
kończenia naszego domku. Raty
przypominały, że czas upływa i
zbliża się jesień. Pierwszego grud-
nia mieliśmy się przenieść na wła-
sne śmiecie.

W trakcie tego podjęto budowę
trzeciego osiedla, tym razem muro-
wanego, a potem na obszernym pu-
stkowiu wyrastały coraz to nowe
domki, jak grzyby po deszczu.
Pycha nas rozdymała. „Patrzcie,
maluczko, a staniemy się nowym
Żoliborzem“... Zarząd osiedla, po
ogrodzeniu lasu, jał się innych in-
westycjach: zamierzona jest budowa
basenu pływackiego, boisk i kor-
tów tenisowych. Obok postawio-
no nowoczesne pomieszczenie dla
półkolonij letnich... Wreszcie prze-
prowadzono tramwaj. Był to
wzniosły dzień w życiu mieszkań-
ców osiedla. Teraz już nikt nie po-
wie, że dziura, że prowincja lub
przedpiekle. Mamy tramwaj, kur-
sujący co pół godziny. Ale i na
słońcu są plamy: ostatni tramwaj
opuszcza granice Warszawy o go-
dzinie 22.15, w święta o pół godzi-
ny później. Na moją nieśmiałą
uwagę, że rozkład ten uniemożli-
wia pójście np. do teatru, jakiś

srogi pan w karakułowym kołnie-
rzu burknął:

— Tu mieszkają ludzie pracy,
teatr zaś jest luksusem!

Uśmiechnąłem się z miną wino-
wajcy, co karakułów, zdaje się, nie
przebłagało.

Jeszcze na naszym (drugim)
osiedlu nie było ani wody, ani
dróg, ani okiennic, a już wprowa-
dzali się ludziska, stęsknieni do
swej posiadłości. My byliśmy trzy-
nastą rodziną, która to uczyniła.
Zeszłoroczne przejścia wydały mi
się igraszką wobec bohaterstwa
jednego z sąsiadów, mieszkające-
go w domu, nie posiadającym na-
wet zawias u drzwi.

Powiedziałem: wprowadziliśmy
się. Akt ten poprzedziło jednak cał-
kowite wywiązanie się z przewi-
dzianych do tego okresu zobowią-
zań pieniężnych, dalej wybicie
belkowanych ścian tekturą lub pa-
pierem, ponieważ tynkować nie
można będzie prędzej, aniżeli na
początku lata. Ustawianie mebli,
zawieszanie firanek, porządkowa-
nie biblioteki i wogóle tak zwane
„porządki“ zajęły kilka pierwszych
tygodni. Wnet potem zaczęli zjeż-
dzać goście (komunikacja ułatwio-
na) i przymawiać się o tak zwane
po polsku „nowosielje“...

Goście, lub poprostu ciekawi, to
specjalny rodzaj ludzi. Wybierają
się na osiedle, jak na Syberję lub
Antypody, chodzą i gapią się
na autochtonów i ich krwawo
opłacone domki, jak na mieszkań-
ców od Hagenbecka. My odpłaca-
my im pięknem za nadobne, pa-
trząc na zwiedzających z lekką do-
mieszką sarkazmu.

Zwolna jednak wylaniają się no-
we troski. Niema jeszcze elektrycz-
ności, a słupy dopiero wkopują od-
niechcenia. Ma być na... wiosnę.

Wody też niema, studnię dopiero wiercą. Ma to być studnia — rekord, studnia — monstrum ponad 200 metrów głębokości. Podobno można będzie oglądać za należną opłatą. Okoliczne, lokalne studzienki pozamarzały, przeto po wodę urządzamy całe wyprawy. Odbywa się to, jak następuje:

— Niema wody, a pan Maniś znów nie przyszedł — przeraża się żona.

— Ha — myślę sobie — oto nadarza się sposobność spróbowania pionierstwa. Niech wiedzą, że nie wstydzę się żadnej pracy!

Idziemy, nas dwoje i służąca, niosąc wiadro, dzbanki i wielkie, emaljowane gary. Do studni jest kawał drogi, śnieg głęboki, ścieżka wąska. Studnia wokoło obmarznięta. Wodę wyciąga się przy pomocy „kluczki“, czyli długiej żerdzi z gwoździem na końcu. Trzeba się umieć z nią obchodzić, aby nie utopić wiadra. Ciągnę kubel do góry, nogi jadą wtył — śmiejemy się. Ma to swój urok nowości — właśnie pionierstwa.

Wreszcie wszystkie naczynia nalane. Rozpoczynamy triumfalny powrót. Jedna z kobiet, niosących za uszy duży garnek, stale brnie po sięgającym do pół łydki śniegu. Odpoczywają często. Wody jednak trzeba oszczędzać wbrew powiedzeniu, że kulturę społeczeństwa mierzy się ilością zużytego mydła i wody.

Na Nowy Rok służąca podziękowała za „posadę“. Miała dość tych wsiowych warunków. Ostaliśmy sami, sieroty. Do mych różnorodnych zajęć dołączyło się rąbanie drzewa i noszenie węgla. Ale głowa do góry: zbliża się wiosna. Czekam na przycinanie dolnych gałęzi w zagajniku, szykowanie lotnego piachu pod zasadzenie kwiatów, warzyw i drzew owocowych... Bo na tych 878 m² ma być wszystko: hodowla drzew morwowych, po

jednym drzewku owocowym z każdego gatunku, topola niekłańska wokoło działki, ogród kwiatowy, warzywa, dom i las sosnowy, o którego każde drzewo toczą home-ryczne boje. Ale czy ostoją się młode sosenki wobec skoncentrowanej w innym kierunku woli kobiecej?..

Smutne te perspektywy przysłania narazie krótki wykaz bieżących wydatków: „szambo“, urządzenie łazienki, blacharzowi za rynny, chłopu za przywiezienie 20 fur torfu na użyźnianie piaszczystej gleby.

Czy nie rozjaśnia doli przeciętnego mieszkańca osiedla? Mówiłem już o gościach i zwiedzających osiedle, o słowikach i czeremsze. W zimie zato jest saneczkowanie. Las nasz obfituje we wzgórze (nie równać mu się, coprawda, z Podhalem) i te to wzgórze są terenem tego miłego i naogół bezpiecznego sportu. W święta i nad wieczorem w dni powszednie roi się tu od dużych i małych dzieci. Krzyki i pohukiwania, dużo radości i flirtu. Zdjęcia dokonać nie mogłem (jak mi radziła redaktorka „Bluszczu“) z wielu powodów: w lesie jest dość ciemno, a sanki jadą i to szybko. W dodatku aparat mój nie chwyta dźwięków, więc obraz byłby spaczony.

Podczas niedawnych świąt przyjechała do nas kupa przyjaciół i szaleliśmy wszyscy, lub prawie wszyscy. Cóż to za boska rzecz, gdy sanki, wpadłszy wdół, wywracają się z trzaskiem, a w powietrzu fru- wają poplątane ludzkie kończyny! W dodatku sanki, nie wiem, czy to była wina ich, czy kierowcy, stale miały skłonność do zbaczenia na prawo, w krzaki. Amortyzowało to wprawdzie ich pęd, ale zarazem zagrażało oczom jadących i pończochom pań. Jedna z nich wogóle nie mogła się wywikłać z objęć krzewów dzikich malin i musiałem na ten czas z wrodzoną so-

..Nie mogliśmy się doczekać mykończenia naszego domku...

Trzecie osiedle powstało późną jesienią.

Tak mygląda uliczka w naszym osiedlu.

Przyjazd pierwszego tramwaju zamienił się w wielką uroczystość.

Obozowisko furmanów, zwających żwir i drzewo.



bie dyskrecją udawać zajętego wydobywaniem sanek.

Wszystko jednak skończyło się pomyślnie, jeśli nie liczyć guzów, sińców, pękniętych sanek i porwanych, jedwabnych pończoch. Ale czego nie robi się dla sportu?

Z powyższego, bezpretensjonalnego opisu Czytelniczki widzą, że życie człowieka, budującego własny

dom, jest dość urozmaicone. Celowo pomijam społeczne strony tego zagadnienia. Lepiej, wnikliwiej i wszechstronnie opisała życie podobnego osiedla p. Boguszewska w swej książce „Ci ludzie”.

Dziś, kiedy tak patrzę przez szerokie okno na osnieżoną sosenkę, tłukącą podczas wiatru gałązkami o zamrażnięte szyby, kiedy sypię

okruchy czyżykom, szczygłom i wróblom, zagląającym z opodal stojących drzew do przestronnego, przytulnego pokoju, kiedy ledwie mogę się poruszać po ostatnim saneczkowaniu (tu zapewne Czytelniczki oczekują na jakieś patetyczne zakończenie?), dziś rad jestem, doprawdy, że mieszkam we własnym domu.

Jerzy K. Maciejewski.

DZIEWCZĘTA TRZECIEJ RZESZY

Obserwując niezwykle przemiany, jakim ulega społeczeństwo niemieckie pod rządami kanclerza Hitlera, musimy się zainteresować tem, co myślą i czynią dziewczęta trzeciej Rzeszy.

Kanclerz zamknął ich przeznaczenie w obrębie trzech K. (Kinder, Kirche, Küche, — dzieci kościół i kuchnia) i bynajmniej nie spotkał się z sprzeciwem młodych Gretchen. Zdobywając przed kilkoma laty prawa, przysługujące dotąd jedynie mężczyznom, jak możność uprawiania wszystkich zawodów wolnych, dziewczęta Niemiec poczuły się jednak nieco wykolejone i jeszcze niepewne na nowej drodze. To też z równym uznaniem przyjęły swą emancypację jak zakaz palenia papierosów.

Młode obywatelki trzeciej Rzeszy, tak jak ich bracia, należą do organizacji hitlerowskich. Surowa dyscyplina i karność, rozwijająca ciało oraz ducha przez ćwiczenia sportowe i intensywną propagandę hitlerowską, czyni z nich podatne narzędzie w ręce Führera. W pięknych mundurach, w zwartym szeregu, poprzedzonym przez sztandar, widzimy je na ulicach Berlina, gdy wiatr rozwiewa w marszu włosy, a z ust zrywa się wesoła śpiewka.

Młode Gretchen chętnie udzielają wyczerpujących i rzeczowych objaśnień dziennikarzom, którzy tak, jak ostatnio, p. Claude Eylan, zwiedzają niemieckie obozy pracy.

— Na czele naszej organizacji stoi sam Hitler, następnie kilku szefów, kierujących wyłączenie „Najwyższą Dyrekcją”.

— Proszę spojrzeć! (i mała Gretchen wskazuje na tablicę, wiszącą na ścianie). Nasza organizacja dzieli się na liczne departamenty i sekcje. W tych domach spotyka się jedynie młodzież.

Według bowiem życzenia Führera rozkazują młodzieży i kierują nią ludzie w jej wieku, wybrani dzięki oddaniu i poświęceniu się partji.

— I znajdują posłuch?

— Ależ tak! Występują przeciw w imieniu Hitlera! A to najzupełniej wystarcza. On zwalczył w nas to wszystko, co było złem i sztucznym, rozwinął cechy prawdziwie niemieckie: zdrowie i siły, wolę, która się ugnie tylko przed rozkazem wodza.

Niestety, mamy jeszcze bardzo niewiele obozów pracy, jak zwykle brak funduszy. Lecz młode dziewczęta ze wszystkich środowisk wykorzystują swój co najmniej kilkutygodniowy pobyt znakomicie. Zapoznają się z wieśniaczkami i robotnicami, pracują, mieszkają i uczą się razem, wykonują te same zadania, co ich mniej uprzywilejowane siostry.

— Jakież są ich prace?

— Najbardziej różnorodne. A więc szycie, gotowanie, domowe gospodarstwo, pielęgnowanie chorych lub dzieci.

W obozach dziewczęta uczą się się nam to zupełnie słuszne i jest opiekowanie się mężczyzną i rodzenie zdrowego potomstwa. Wydaje się nam to zupełnie słuszne i jest naszym powołaniem.

— A wyższe studja?

Zdaniem młodej Gretchen niewiele jest kobiet zdolnych do pracy umysłowej. Oczywiście nieliczne wyjątki zdobędą wyższe wykształcenie, jeżeli tego pragną, bez nadziei jednak uzyskania stanowisk, przeznaczonych dla mężczyzn. Zajmą się pracą społeczną, higieną, lub wychowaniem dzieci.

— Nie należy przecież pozwolić, aby kobiety otrzymywały posady, których nie mają mężczyźni.

Człowiek bez stanowiska nie może się ożenić. I to właśnie w ten sposób, opuszczając nieodpowiednie zresztą dla nich posady, kobiety niemieckie zdobędą sobie mężów. Naród niemiecki musi rozwijać się i wzrastać, a naszym zadaniem jest stworzenie takich warunków, w którychby każdy Niemiec mógł założyć rodzinę.

Wystarczy zwiedzić jeden kobiecy obóz pracy w okolicach Berlina, by wyczytać zadowolone na tryskających zdrowiem twarzach dziewcząt, zamieszkujących w spólnie skromniutkie domki.

— Niedługo będziemy miały kurczątko, małe cielęta i prosiaki — woła z zapalem entuzjastyczna gospoia. — Otrzymujemy codziennie od państwa jedną markę osiemdziesiąt na osobę (chłopcy dostają dwie marki czterdzieści), ale my mamy jeszcze „kieszonkowe”, wynoszące trzydzieści fenigów dziennie, podczas gdy oni tylko 25!

Dziennikarka francuska wychowała w obozach pracy jedynie atmosferę beztroskiej i zdrowej młodości. Reasumując swe wrażenia, przeszła jednak dyplomatycznie do porządku dziennego nad faktem, że obozy są jednocześnie gniazdem wsteczności, szowinizmu i zaślepionej pruskiej dumy.

H. K.

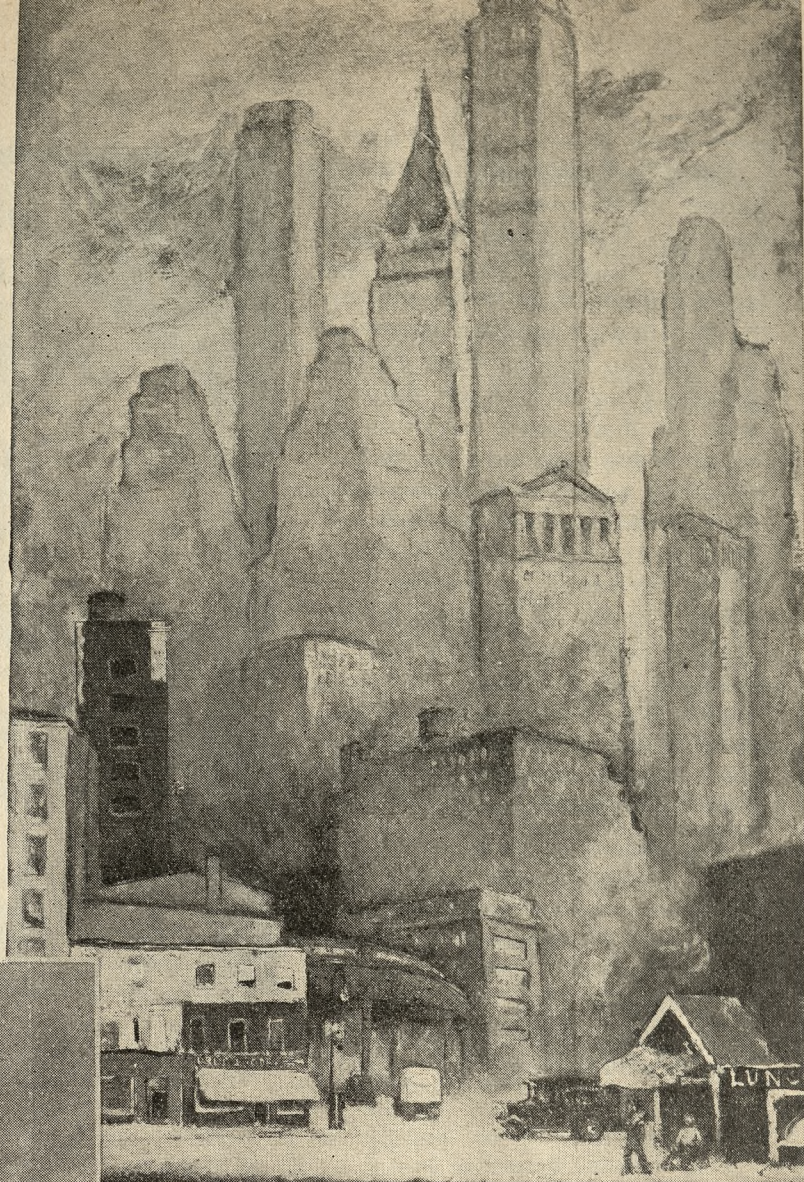


Grupa młodych Gretchen w obozie pracy.

CZWARTY SALON ZIMOWY W IPSIE

Jest ciekawy przede wszystkim dzięki kontrastowi między malarstwem a rzeźbą. Rzeźba niemal bez wyjątku monumentalna, statyczna, prawie że klasyczna. Malarstwo wibrujące, niespokojne, ruchliwe, romantyczne. W rzeźbie króluje Kuna. Ten znakomity artysta w ostatnich swoich pracach, wystawianych na poprzednich salonach, zerwał z dawniejszą formą rytmiczno-ekspresjonistyczną (postać kobieca w Parku Skaryszewskim). W portretach Wierzyńskiego i Witkowskiego, wystawionych w roku zeszłym, dał wizerunki pełne wyrazu, ale zarazem i tego wiernego podobieństwa, o jakie ubiega się rzeźba realistyczna. Na obecnym salonie jego bezsprzecznie czołową pracą jest portret profesora Tadeusza Zielińskiego, w której artysta oddał wiernie homerycką dostojałość badacza i wskrzesiciela klasycznej przeszłości. Dwie pozostałe rzeźby Kuni: głowa Makuszyńskiego i generała Zamorskiego są tak spokojne i poprawne, że aż akademickie.

Magdalena Gross dała świetny w pomysł i wykonaniu portret Franciszka Fiszera. Fakt zastanawiający: jednocześnie niemal w Zachęcie widzieliśmy portret malarski tegoż samego popularnego filo-



Władysław Koch: „Piąta Avenue“



Adam Malicki: „Kościół“.

zofa z Ziemiańskiej, człowieka, który, jak sam o sobie mówi, ręk swoich nigdy nie splamił pracą ani atramentem. Fiszer niewątpliwie będzie kiedyś postacią z legendy. Zanim to się stanie, dobrze, że go uwieczniono w całej jego plastycznej dostojałości. Ktoś, co kiedyś pisać będzie historję warszawskiej kawiarni, pominąć nie może brodatego gadacza, którego bas wstrząsa co wieczór ścianami Ipsu.

Akty kobiece w ścisłym tego słowa znaczeniu dali Karny i Strynkiewicz, obaj młodzi artyści, przechodzący ciekawą ewolucję swoich bujnych talentów. „Naga“ Rzeckiego, to raczej kompozycja dekoracyjna, o zakroju monumentalnym, z mocno zarysowaną i postawioną bryłą.

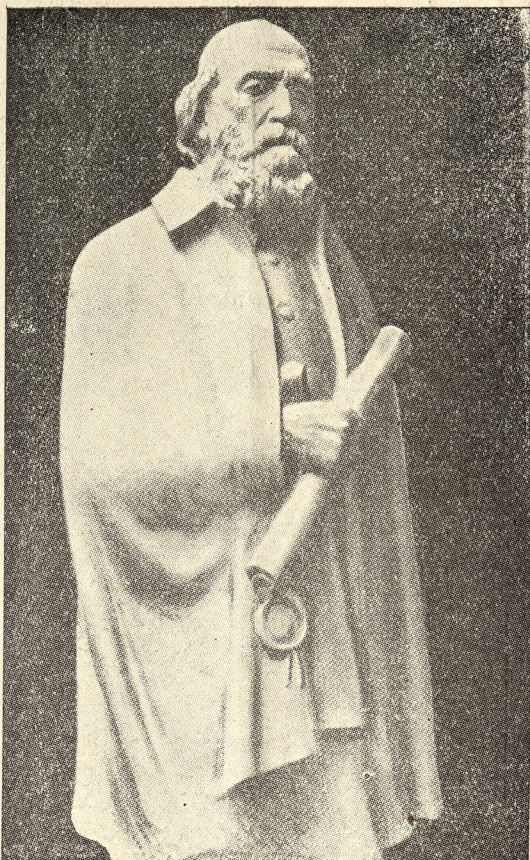
Wreszcie dwie duże rzeźby zwierzące Stanisława Komaszewskiego „Odyniec“ i „Macierzyństwo“ mają w sobie dużo charakteru i jędrną świeżość kniei.



Edward Kokoszko: „Bliźniaki“.

Jeżeli będziemy uważali za zadanie dorocznego Salonu Zimowego odzwierciedlenie całości kształtu dorobku artystycznego za rok ubiegły, to temu zadaniu Salon Zimowy Ipsu nie odpowiada. Daje on zato bardzo ciekawy przegląd nowoczesnych kierunków w malarstwie, reprezentowanych nie przez dojrzałych artystów, ale raczej przez awangardę. Brak w katalogu nazwisk czołowych, sztandarowych, brak poza Skoczylasem profesorów Akademii Sztuk Pięknych, niema Witkowskiego ani Witkiewicza, natomiast spotykamy nazwiska znane nam ze zbiorowych wystaw pewnych grup o charakterze wybitnie nowoczesnym, często eksperymentalnym.

Tegoroczny Salon można by nazwać „Salonem młodych“, niekoniecznie z racji ich wieku, ale kierunku. Pod tym względem Salon ma oblicze dość jednolite, gdyż selekcja prac dokonana została ze smakiem. Oddzielnym, ciekawym podejściem do tematu



Henryk Kuna: „Portret prof. Tadeusza Zielińskiego“.

odznacza się „Studnia“ Wieńczyśława d'Erceville, łącząca balladową nastrojowość z reminiscencjami prymitywów.

Kompozycja Jadwigi Simon-Pietkiewiczowej „Zwycięzcom Challenge'u 1932 r.“ jest próbą zrekonstruowania faktów zapomocą syntezy figuralnej, która u genialnego szewca-amatora z wystawy „Szukamy nowych talentów“ była naturalna i zrozumiała, ale u artystki o wysokiej kulturze artystycznej i intelektualnej zakrawa na pozę, snobizm i sztuczność.

Jedno ją tłumaczy: pragnienie znalezienia nowych dróg. To czytanie na nową drogę, nowy chwyt, nową formę, jest cechą wspólną wszystkim tegorocznym wystawcom, którą należy, nawet przy licznych niedociągnięciach, zapisać na ich plus.

Zastygnięcie bowiem w raz przyjętej formie bardzo często równa się zastoju.

O ewolucji decyduje ruch.

S. P. O.

JADWIGA KORCZAKOWSKA.

ODSKOCZNIA

Ucieklam
do białego raju z codziennego piekła.
Góry odgrodziły od zła. Góry piękne jak żywy, propagandowy afisz.
Wszystko przy nich: zazdrość, żądza — male, blade.
Cukrem śniegu przysypane ślady:
nie trafisz...
Samotność chodzi za mną troskliwie, łagodnie;
tłumaczy: jest tak cudnie, otrzyj lzy, przechodniu...
Godziny są białe i złote. Powietrze jak lemonjada.
Dzień — jak rospaniała, na lśniącym obrusie, biesiada.
Noc spada nagle — zimna, z niebieskiej emalji pokrywa.
Pilnują snu wielkie świerki w puszystych grzywach. —
Hardo podnoszę głowę...
Stałam na odskoczni...
Jest szeroko i jasno — było ciasno i mrocznie.
Zaczarowane deski jesionowe
poniosły mnie szklistą trasą!
Pocięłam niemi smutek na szafirowe pasy!
Zmyliłam drogę żalom. Nie tęsknię, choć cię tu niema.
Nie trzeba prosić: nie dręcz, nie kłam.
Ważniejsze teraz: „chrystanja“ i udany „telemark“. —
Ucieklam.

JAK PRACUJĄ KOBIECY?

Zbyteczne kwalifikacje

Zawód farmaceuty był niegdyś pogardzony. Aptekarze rekrutowali się przeważnie z ludzi mało wykształconych. Wystarczyło skończyć skrócone kursy, aby zostać „pigularzem”, kozłem ofiarnym literatury ubiegłego stulecia.

Ale dzisiaj farmaceuta musi posiadać maturę, skończyć wydział farmaceutyczny na uniwersytecie z tytułem magistra, odbyć trzyletnią praktykę w aptece, zdać ostateczne egzaminy, aby wreszcie otrzymać prawo zarządu apteką.

Ale skrócone kursy istnieją w dalszym ciągu, chociaż studenci odnoszą się do nich wrogo.

— Studjujemy 4 lata na uniwersytecie — oburza się młody magister — i mamy mieć te same prawa, co słuchacze kilkumiesięcznych kursów?

I podobno kursy te rzeczywiście są skazane na zagładę.

W aptekach istnieją dwa stoły: pierwszy i drugi. Drugi stół jest oddzielony od publiczności szklaną ramą lub drewnianą zasłoną. Za drugim stołem panuje cisza, przerywana tylko szelestem rozcieranych proszków, dźwiękiem porcelanowych miseczek i stukaniem cienkich, metalowych pręcików. Jasne i ciemne głowy pochylają się nad stołem. Czoła przecina głęboka zmarszczka. Farmaceutka musi być cierpliwa i bardzo uważna. Najmniejsza niedokładność w przygotowywaniu leków może pogorszyć stan chorego, zamiast przynieść mu ulgę. Częsteczką miligrama, dodana przez roztargnienie do lekarstwa, powoduje nieobliczalne następstwa!

Pierwszy stół jest odgradzony od publiczności tylko ladą. Farmaceutka ekspedjuje gotowe leki, przyjmuje zamówienia i oblicza ceny. Praca jej jest tutaj bardziej odpowiedzialna i do pierwszego stołu przechodzi się dopiero po odbyciu praktyki za szklaną ramą.

Lecz wszędzie obowiązuje pozycja stojąca.

— Moje koleżanki cierpią często na zylaki, obrzęk nóg, ból w plecach i ramionach — wzdycha młoda farmaceutka. — Wdychamy szkodliwe zapachy; nie mamy wolnych niedziel i świąt; pracujemy na zmianę od 9-ej do 3-ej po poł. i od 3-ej po poł. do 10-ej wieczorem. No i nie trzeba zapominać o noenych dyżurach...

Każdy magister farmacji marzy o pracy w laboratorjach bakteriologicznych lub chemicznych.

— W aptece wykonywamy recepty według utartego szablonu. Praca jest zmechanizowana, nie pozwala

na żadne indywidualne odchylenia. Z czasem staje się nudna. Niema pola do wykazania zdolności i inicjatywy. Inaczej dzieje się w laboratorjach. Horyzonty rozszerzają się, ulepsza się istniejące metody, dokonywa wynalazków. Zdolniejsze jednostki mogą się łatwo wybić. Ale trudno dostać się do laboratorjów. Bardzo trudno...

Lecz nie tylko trudno dostać się do laboratorjum. Wszechwładny kryzys nie ominął i aptek.

— W teorii magister otrzymuje za drugim stołem 200—300 zł. miesięcznie, a za pierwszym 400 i więcej — zwierza mi się farmaceutka, która, zdobywszy tytuł magistra, beznadziejnie poszukuje posady — ale w praktyce...

W praktyce bezrobocie szerzy się zastraszająco. To też nie można pogardzić nawet krótkotrwałym zastępstwem w małym miasteczku za 100 zł. miesięcznie...

Ale na prowincji farmaceutka musi być uniwersalna. W małym miasteczku klient przychodzi do apteki nie tylko z receptą, podpisaną przez lekarza, ale i po bezpłatną poradę lekarską. I następuje konflikt między prawem a życiem. Bo prawo zabrania aptekarzowi sprawować praktykę lekarską. Ale trudno nie przyjść z pomocą wieśniaczce, która przyjechała z chorem gardłem, oparzonemi rękami lub krwotokiem nosa...

— Moja Fifunia niedomaga — żali się tęga jejmość, spoglądając z rozrzewnieniem na wypasionego ratlerka.

Oburza się, gdy farmaceutka kieruje ją do weterynarza.

— Nie mam pieniędzy na zbyt-ki! — woła.

KREM-PUDER

„DERNIER CRI”
UŻYWAJĄ WYTWORNE, ELEGANCKIE PANIE



Dr. J. Świtalskiej.

Kursy Racjonalnej Kosmetyki i Masażu

kształcą na zawodowe kosmetyczki, uprawiają do otwarcia gabinetu ko m tycznego. Ilość słuchaczy ograniczona. Początek ku su w styczniu
Informacje: Aleje Ujazdowskie 37, tel 8-92-77

I odrazu wypasiony ratlerka spada z roli ulubieńca do pospolitego kundla.

— Jak mi pani nie zechce sprzedać lekarstwa dla Fifuni, pójdę do apteki koło poczty... — grozi.

Farmaceutka się waha. Lecz jeżeli tęga jejmość obrazi się naprawdę i więcej nie wróci?... Więc obawiając się stracić klientkę, sprzedaje jej niewinny środek, który może nie wyleczy psa, ale napewno mu nie zaszkodzi...

— Niech mi pani da jakieś lekarstwo na zmarszczki — prosi pani naczelnikowa przyciszonym głosem.

Farmaceutka znowu się waha. Ostatecznie apteka nie jest instytucją kosmetyczną i wydział farmaceutyczny nie ma nic wspólnego z konserwacją urody! Ale pani naczelnikowa należy do osób obraźliwych... A neutralny krem i dobre mydło nie zaszkodzą cerze, podobnej do świeżo zoranej roli lub wzburzonego morza...

— Mojego syna przygniół wóz i skarży się, co go w piersiach boli — mówi wieśniak, który wstąpił do apteki, jadąc na jarmark.

Wzruszeniem ramion zbywa wszelkie tłumaczenia.

— Gdzie mu tam włóczył się po szpitalach, kiedy żniwa za pasem — twierdzi niewzruszenie. — Albo pani aptekarka ma być gorsza od jenszych dochtorów?

Farmaceutka na prowincji musi być uniwersalna!

Ale kilkumiesięczne zastępstwo skończyło się i nie można znaleźć innej posady. Naprózno farmaceutka kołatała do przeróżnych aptek, poruszała wszystkie sprężyny...

— Chwilowo mamy komplet...

Więc zaczęła się starać o jakiegokolwiek zajęcie. Chociażby służącą...

Wreszcie zaproponowano jej miejsce ekspedjentki w perfumerji za 120 zł. miesięcznie. Zgodziła się natychmiast, ale pierwsze pytanie właściciela perfumerji zadecydowało o jej losie.

— Gdzie pani poprzednio pracowała?

— W aptece...

I wyższe wykształcenie okazało się bardzo poważną przeszkodą. Nie każdy chce zatrudnić kobietę, stojącą intelektualnie wyżej od siebie!

— Więc na przyszłość powiem, że pracowałam w mydlarni — wzdycha farmaceutka, która marzyła o pracy w laboratorjum i wynalazkach w dziedzinie farmacji...

St. Osińska.

ANGIELKA, PANI DOMU

„My home is my castle“ — dom mój to mój zamek. Stare to przysłowie angielskie. Moznaby sądzić z powyższego powiedzenia, że dla Angielki nic nie istnieje poza czterema ścianami jej domu. Odsobnia się w murach zamku od reszty świata i żyje jedynie dla męża i dzieci. Bynajmniej tak nie jest. Angielki, które poznałam podczas mego pobytu w Afryce, domy angielskie, w których często bywałam, nie mają charakteru naprzykład niemieckiej staranności i pieczołowitości w wykonywaniu prac z zakresu gospodarstwa kobiecego. Że Niemka jest oddaną „Hausfrau“, wiadomo w całym świecie.

Rzecz ma się zupełnie inaczej, gdy zaczniemy analizować walory wysportowanej i dumnej córki anglosaskiej rasy pod kątem jej zamiłowań gospodarskich. Angielka przedewszystkiem dba o linję. Udaje jej się to wyśmienicie, bo ma na względzie dwa nader ważne przepisy higieny codziennego trybu życia, a mianowicie: 1) mało i nie tłusto jadać, 2) dużo być w ruchu poza domem i uprawiać sporty. Powiedźcie, Panie same, jakimi gospodyniami mogą być Angielki, wobec zupełnej obojętności na jakość potraw i zwyczaju spędzania dnia poza

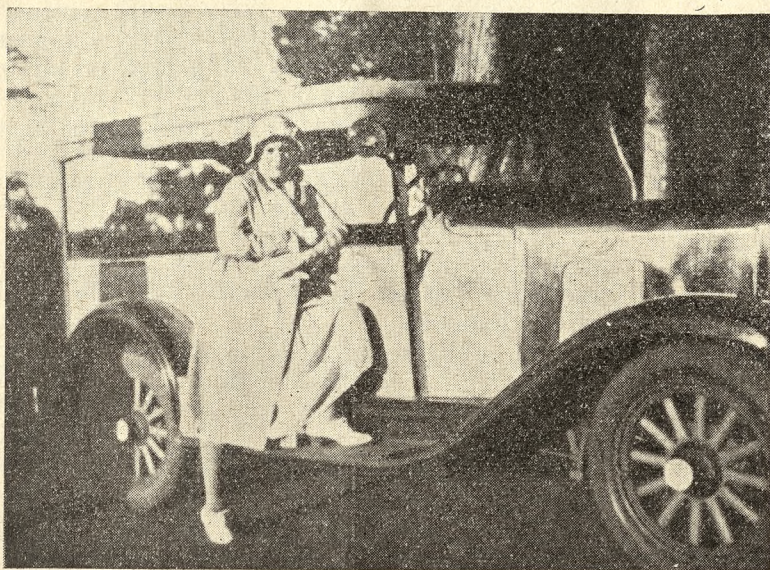
domem, na placu tenisowym, do golfu, w pływalni, przy kierownicy samochodu, na polowaniach i przy stoliku bridge'owym. To są upodobania i zajęcia kobiet, oczywiście rozmaitych, żon plantatorów lub doktorów, wyższych urzędników i oficerów w kolonjach angielskich w Afryce. Poza sportem odwiedzają się Angielki wzajemnie o każdej porze, spędzając długie godziny tropikalnego dnia przy filiżance herbaty na chłodnych werandach swych pięknych willi, w cieniu palm, drzew eukaliptusowych i bananowych.

Zwykle obojętne panie ożywiają się na wspomnienie czasów, spędzonych w Anglii, bo Angielski tęsknią pod słońcem afrykań-



Na korcie tenisowym.

skiem do zamglonych i szarych miast swej ojczyzny. Robią przy pogawędce bardzo ładne hafty angielskie na białym płótnie, ozdabiając swoje home ręcznymi pracami.



Za chwilę ruszy w drogę.

Angielka już ze względu na nieznosne gorąco przy rozpalonej płycie kuchennej, pod blaszonym dachem kuchni, rozprężonym przez słońce podzwrotnikowe — zrzadka do niej zagląda. Woła sobie poprostu codziennie swego „piski“, kucharza czarnego, do pokoju. Leży zazwyczaj z papierosem w zębach na otomanie, przykrytej skórą jakiegoś egzotycznego zwierzęcia, smukła, wdzięczna i chłopięca, w ślicznej japońskiej piżamie i łaskawie zapytuje murzyną, jaki lunch lub dinner uważa tego dnia za odpowiedni? Bo ona dziś

nie będzie wogóle w domu, w porze obiadowej, kiedy pan powróci z biura lub zajęć. Ma dziś przed południem partję bridge'a, bardzo ciekawą rozgrywkę u Mrs. Tinsley na przedmieściu Parkland's, zaraz wsiada w swe auto i chyba powróci, by się przed wieczorem przebrać na dinner w hotelu.

— Bo powiedz panu — ciągnie miła pani dalej w dobrym, poprawnym języku murzynie suahili — że dziś wieczór w hotelu Tors'a będzie przyjęcie, niech się pan również uwolni i przybędzie, bo sam gubernator zaszczyca zebranie swą obecnością.

Pocziwy murzyn-piski wysłuchuje z miną dość obojętną całej tyrady pięknej białej „memzy“ i dopiero ozywiają się błyszczące gałki jego oczu, gdy pani mówi o usmażeniu zwykłego befsztyku dla pana, nie zapominając dodać z uśmiechem:

— A pamiętaj, stary, by nie był za nadto dosmażony! Dasz panu surowe pory, liście sałaty zielonej i owoce — to wszystko. „Kwenda“, teraz odejdz.

Zgrabnie zeskakuje z otomany i za kilka minut słychać warkot motoru. Kłęby dymu i kurzu na zakręcie przy klombie pozostały jako jedyny ślad pani.



Nowożeńcy angielscy w kolonjach.

W domu opuszczonym krząta się czarna służba. O ile jest dziecko, to murzynka — „seszelka“ ubiera białe „mtotto“ dziecko, wsadza do wózka i wozi po pięknych ogrodach przedmieść stolicy Nairobi.

Jak wygląda ten dom?

W pokojach są cenne dywany smyrneńskie, egzotyczne lampy i wazony roboty Arabów, Egipcjan, skóry lampartów, lwów i małp, wspaniałe okazy rogów, przybite na ścianach, wygodne meble w najnowszym stylu, sprowadzone z Anglii. Angielka ma gust, urządza z wielkim smakiem swoje „home“, mało w nim sama przebywa, lecz lubi zaprosić przyjaciół i szczyścić się bogactwem i wykwentem wnętrza.

W ładnie urządzonej krytej werandzie, w otoczeniu roślin i kwiecia egzotycznego, z widokiem na plac tenisowy rozsiada się w trzcinowych fotelach całe towarzystwo. Przy każdej niemal willi w Nairobi jest własny, przez murzyńską służbę dobrze utrzymany, kort tenisowy. Murzyni-boye podają piłki grającym. Zwinnie biegają i schylają się po piłkę, mimo upału tropikalnego, i nieraz wielką czarną łapą odbijają ją, jak biali rakieta tenisową. Słychać wówczas podczas gry jedynie słowa murzyńskie grających Anglików: „tupaj pesi“ — rzuć prędko, „hapa“ — tutaj, „ingine buana“ — tamtym państwu!

O 6-ej wieczór ściemnia się zupełnie w kolonjach pod równikiem. Wówczas zaprasza się gości na t. zw. „sundowuer“. Służba na dużych tacach wnosi do pokoi szklanki i butelki whisky, coctail'u, Wermuth'u i Gin'u i syfony z wodą sodową. Piją w kolonji zarówno panowie, jak i panie, przegrzając trunki gorącymi solonemi orzechami lub płatkami kartofli, smażonemi w oliwie, które, nawiasem mówiąc, są doskonałym przysmakiem. Pali się również dużo importowanych angielskich papierosów.

Zachowanie towarzystwa angielskiego w kolonjach afrykańskich w salonach i po domach nie jest zbyt wersalskie. Zawsze



Przed domkiem gościnnym dla przyjezdnych.



Dolce far niente.

znajdują się między nimi Jankesi, swobodni synowie Stanów Zjednoczonych Ameryki. Swoją niepoprawną

angielszczyzną wprowadzają resztę towarzystwa w dobry humor, jak również weseli Szkoci, których jest mnóstwo w kolonji Kenya. Po kilku kieliszkach towarzystwo mocno się ożywia. Padają propozycje wyjazdu na „dinner“ do hotelu i dancng w mieście. Zawsze są chętnie przyjmowane i niedługo znów „home“, „sweet home“ — słodkie domostwo leży opuszczone, tylko czarni snują się w swych białych chałatach na bosaka po pokojach, sprzątając po białych wesółych gościach. Gdy noc zapadnie, pozwalają sobie nakręcać płyty gramofonowe albo na-

stawić radjo i gromadzą się przy ogniu przed domem służbowym, gawędząc żywo przy dźwiękach muzyki tanecznej o swoich chlebobawcach. Murzyn jest ogromnie spostrzegawczy i daje swoim białym panom najpociesniejsze przezwiska, zresztą bardzo trafne.

Angielka, powróciwszy do domu po 2-iej w nocy, zmęczona sportem, wyjazdami, przyjmowaniem gości i tańcem, wpada w głęboki sen. Obudziwszy się z rana, odświeżona gorącą kąpielą w nowoczesnej z komfortem urządzonej łazience, po wypiciu filiżanki mocnej herbaty z mlekiem, przegrzając suchy „caces“, rusza znów w swojej Chewroletce, Fiacie, Fordzie lub często Rollroysie na rozrywki poza domem. Dużo młodych Angielek pracuje po biurach w mieście razem ze swymi mężami. Młode pary mieszkają wówczas w hotelu „en pension“, nie prowadząc gospodarstwa.

Nie można tu pominąć Anglika, który jest delikatnym, wyrozumiałym mężem, idealnym ojcem i wzorowym panem domu. Anglik załatwia w mieście po magazynach, w hali targowej, w straganach hinduskich wszelkie sprawunki dla domu. W wolnych chwilach wozi dziecko w wózku po drogach przedmieść, pomaga czarnej służbie w nakrywaniu stołu, o ile spodziewani są goście. Przy jedzeniu



Pokój jadalny w domu angielskim w kolonjach.

przed nim stawia się półmisek z drobiem lub pieczenią, on, jako pan domu, kraje mięso i rozdaje żonie, dzieciom i gościom. Anglik zagląda do kuchni, poprawia ogień w piecu, o ile indyk nie dość prędko się rumieni! Jest przyzwyczajony, że żona się do tego rodzaju

zająć nie wtrąca, lub bawi poza domem. Jedynie niedziela gromadzi wszystkich domowników w angielskim „home“; jedzie się wspólnie do kościoła rano i po południu na nabożeństwo i kazanie wieczorne. Jestem święcie przekonana, że Anglik wtenczas dziękuje gorąco swe-

mu „Lordowi“, że zgotował mu na tym świecie takie szczęśliwe życie, dał żonę miłą, dom własny i dzieci. Nie odczuwa zupełnie, że Angielka, żona i gospodyni jest egoistką, nie rezygnująca ze swych wygód dla dobra ogniska domowego.

Marja Olga Tchorznicka.

Z T E A T R Ó W

„TOWARISZCZ“ DEVALA.

Nie należy szukać w komedjach i farsach francuskich wiernego obrazu stosunków politycznych w innych krajach. Przysłowie o francuskiej znajomości geografii stosuje się nie tylko do przestrzeni, ale i do czasu. Autor „Towariszcza“ z rozmaitych cech narodowościowych i nastawień politycznych Rosji sowieckiej i Rosji emigracyjnej robi synchronistyczny bigos. Co krok można go przyłapać na jakimś byku faktycznym. Ale w farsie tego rodzaju, co „Towariszcz“, nie chodzi o ścisłość. Im więcej nieprawdopodobieństw, mających pozory prawdy, tem lepiej. Tem bardziej, że źródło zasadniczego komizmu: para arystokratów rosyjskich w służbie domowej u francuskich parwenjusz, sytuacyjnie jest najzupełniej możliwa. Autor idąc po tej linii, doszedł konsekwentnie do krótkiego spięcia. Rozstrzygnięcie pytania, jakby się zachował ten książę rosyjski i księżniczka krwi, gdyby przypadek kazał im obsługiwać sowieckiego komisarza, ich byłego prześladowcę, udało mu się tylko połowicznie. Należało poprzestać na podkreśleniu typowo francuskiego serwilizmu, przybierającego karykaturalne formy wobec zde-maskowania autentycznych arystokratów, bez zarzutu spełniających swe obowiązki służbowe. Próba ideologicznego pogodzenia dwóch biegunowych światów: bolszewji i emigracji na wspólnej platformie ofiarności patriotycznej technie taniem efekciarstwem i na nas, tak dobrze i z praktyki znających i jedną i drugą sferę, sprawia wrażenie raczej niesmaczne. Ale poza temi zastrzeżeniami, ileż w tej sztuce rzetelnego komizmu! Autor nie ominął ani jednej okazji do wywołania śmiechu na widowni. To są pojedyncze sketche, z których każdy z osobna stałby się mógł atrakcją doskonałej rewji, epizody, zmontowane w jeden wybuch żywiołowego humoru. Pochód tragicomicznych przygód emigracyjnej pary prowadzili po mistrzowsku Ćwiklińska i Leszczyński, oboje nieporównani w symbiozie dystynkcji i służalczości, naiwnej szlachetności i rozbrajającego barbarzyństwa.

Kurnakowicz i Janecka stworzyli groteskową parę francuskich parwenjusz. Buszyński w roli „towariszcza“ pod maską ponurej tajemniczości starał się ukryć sztuczność i konwencjonalność typu, stworzonego przez autora na użytek naiwnych delfinów francuskiej oportunistycznej polityki (ad usum delphini!). Macher-ska w niczem nie przypominała angielskiej arystokratki.

Tempo reżyserskie miało właściwe nasilenie.

S. P. O.

SHAW — KPIARZ I SHAW MĘDRZEC.

Shaw jest urodzonym dialektykiem. Scena, to dla niego zawsze teren gorącej dyskusji, tylko że dawniej dyskusję tę

prowadziły żywe fakty, obecnie tylko słowa. Shaw, poeta i artysta, został zabity przez sceptyka i kazuistę. Shaw, autor Candidy i Pygmaljona, jest porywającym twórcą żywych paradoksów, Shaw, autor „Wielkiego kramu“ i „Zbyt prawdziwego, aby było dobre“, jest krawcem, który nicuje zawzięcie wszystkie maskaradowe kostjумы współczesnych konwenansów politycznych, społecznych, rodzinnych, ale, odarłszy z nich do naga świat, nie troszczy się o to, jakaby mu nową kurtkę skrajać.

Przypadek albo i nie przypadek zrządził, że w dwóch teatrach stołecznych jednocześnie pokazano nam dawnego i nowego Shaw, kpiarza i mędrca, czarodzieja teatru i genialnego nudziarza.

W Narodowym dają „Nigdy nic nie wiadomo“, jedną z dawniejszych sztuk Shaw'a, w Polskim jego najmłodsze dziecko: „Nad przepaścią“. Zestawienie bezpośrednie tych dwu sztuk prowadzi do arecyiekawych wniosków z dziedziny oddziaływania teatralnego. Trzeba się tylko wstrzymać w śmiech widzów na sali. W Narodowym ludzie śmieją się żywiołowo, w Polskim mózgowo. Tam Shaw przemawia do instynktów, tutaj do intelektu. Tam widz przeżywa wspólnie z autorem życiowy paradoks na indywidualnym przykładzie, tutaj ma do czynienia ze skomplikowaną aparaturą państwową, która jest poddana w jego oczach eksperymentem naukowym, jak w laboratorium. Tam jest akcja, jest fabuła, jest intryga, coś się zawiązuje i zadzierzga, tutaj jest dyskusja, którą, jak wszystkie spory, można prowadzić bez końca. Jest rzeczą dowiedzioną, że losy jednostek nieporównanie żywiej interesują widza w teatrze, niż losy narodów i państw. Dama Kameljowa, umierająca na suchoty, daleko bardziej nas wzrusza na scenie, niż śmierć najpotężniejszego ustroju państwowego. Gdyby nie Lilla i Róża, tragedia Wenedów niewiele znalazłaby współczucia u widzów.

Shaw, stary wyga teatralny, doskonale zdaje sobie z tego sprawę i dlatego z dyskusją politycz-



„Towariszcz“ Devala: Ćwiklińska i Leszczyński.

nią w „Nad przepaścią“ wiąże rodzinne sprawy premiera angielskiego. Więzy są jednak zbyt sztuczne i luźne, żebyśmy mogli uwierzyć w ich logikę i konieczność. Środkiem ciężkości sprawy jest roztrząsanie tego próchna, jakim jest przeciętny ustrój państwa kapitalistycznego, a nie matrymonjalne projekty premierzatek. Widz instynktownie czuje, że go chcą zbyć fałszywym akcją, że jako widz jest zlekceważony — pożądanym, jako intelektualista, jako milczący uczestnik dyskusji Shaw z samym sobą. Dużo jest powołanych, ale mało wybranych. I dlatego „Nad przepaścią“

o m i o świetnej gry i inteligentnego monologowania Junoszy-Stępowskiego jako premiera, pomimo mistrzowskiego epizodu Przybyłko-Potockiej, pomimo nielicznych, ale błyskotliwych, jak krzyżujące się szpady, krótkich spiecz w dialogach i sytuacjach, — pozostanie zawsze raczej szermierzczą zabawą mędrków, niż rozkoszą tłumów.

Jest to zamiana kaduceusza na berło magów, która równa się rezygnacji z teatru, jako istotnego rdzenia twórczości. Teatr jest władcą absolutnym i bezwzględym. Nie znośi połowiczności, ani po-

działu. Shaw skrzywdził go, czyniąc go megafonem do wygłaszania propagandowych mów i to się na nim zemściło.

W sztuce „Nigdy nie wiadomo“ Shaw jest jeszcze wierny teatrowi. Dynamika akcji jest tak preżna, że rozszadza ramy utworu. Ludzie w nim są bezpośredni, żywiołowi i krańcowi. Może szczerzej, niż w życiu, mówią to, co myślą, może częściej i gwałtowniej wybuchają. Są to ludzie-kratery, wyrzucający z siebie nie sztuczne ognie słów, ale lawę czynów.

Kochają, nienawidzą, walczą i cierpią za siebie, nie za miliony

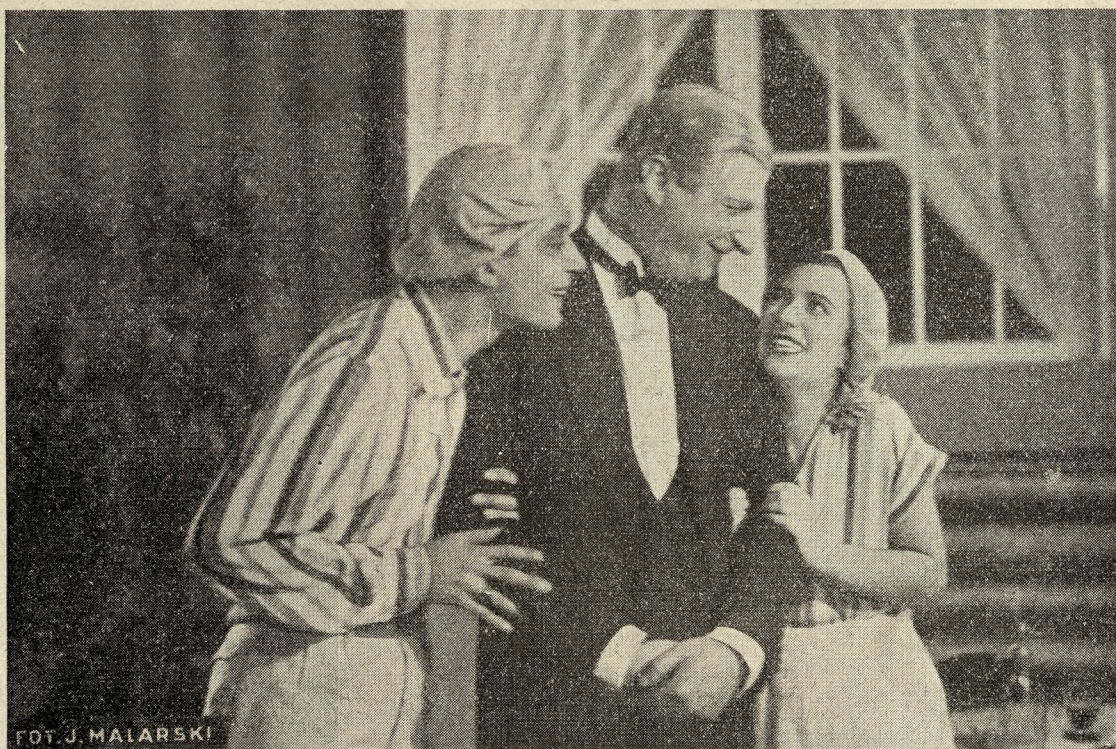
jaskrawych kontrastów psychologicznych. W roli męża impetyka kipiał tłumioną pasją Chmielewski, Gellówna trafnie podkreśliła afektację jego egzaltowanej żony. Lubińska była sztywną nieco, ale gorąco-krwistą miss, a Roland i Jarkowska, jako para bliźniąt, baraszkowali jak rasowe angielskie żrebaki.

Sensacją widowiska były prześliczne wnętrza Węgierkowej. Utrzymane w stylu fantastycznej nieco nowoczesności, harmonizowały ciepłym kolorytem, słonecznością nastroju i miękkością linii z pogodnym charakterem groteskowej sielanki anglosaskiej.

S. P. O.



„Nad przepaścią“ Shaw. Romanówna, Junosza-Stępowski i Sulima.



„Nigdy nie wiadomo“ Shaw. Roland, Maszyński i Jarkowska.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NOWE ZAWODY KOBIECE.

Czego dziś nie robią kobiety? Czy istnieje fach, którego by się nie jęły. Zmuszone ciężkimi warunkami materialnymi, okolicznościami życia, albo... wrodzonym powołaniem.

Na naszych zdjęciach widzimy kobietę - kamieniarza, która, siedząc na wysokim rusztowaniu, specjalnym aparatem pneumatycznym odbija kamienną powłokę z frontu domu.

Obok studentki amerykańskiej z zapalem malują fasadę swego kolegium, zdobywając w ten sposób drogą praktyczną fach dodatkowy, który pomoże im do skończenia studjów teoretycznych.

Niżej widzimy komendantkę kobiecej policji Mary Allen podczas apelu swego oddziału.

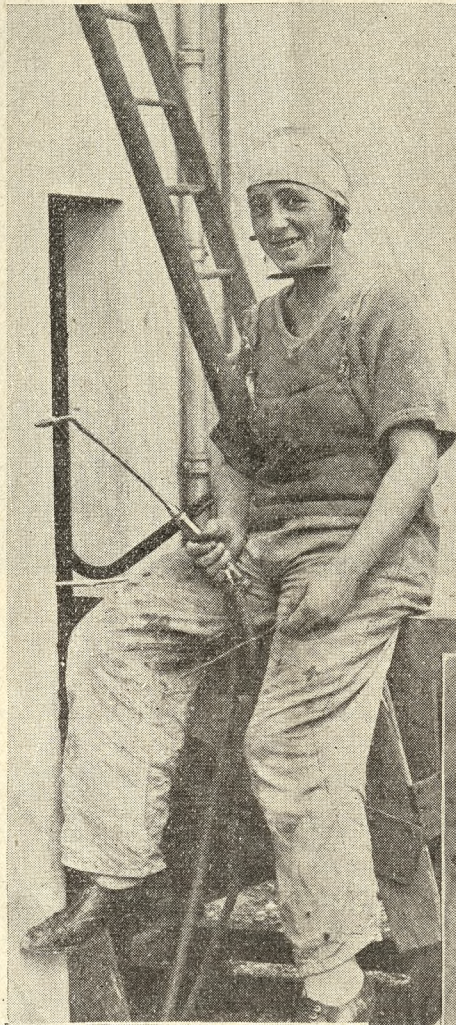
A ta grupa niewiast, ćwiczących się w celnym strzelaniu z rewolweru — to dozorkynie żeńskich więzień w Stanach Zjednoczonych.

U dołu widzimy młodą kobietę, inżyniera górniczego przy pracy.

Na drugiej kolumnie u góry młoda lekarka weterynarii, absolwentka uniwersytetu londyńskiego bada konia, przyprowadzonego do lecznicy dla zwierząt.

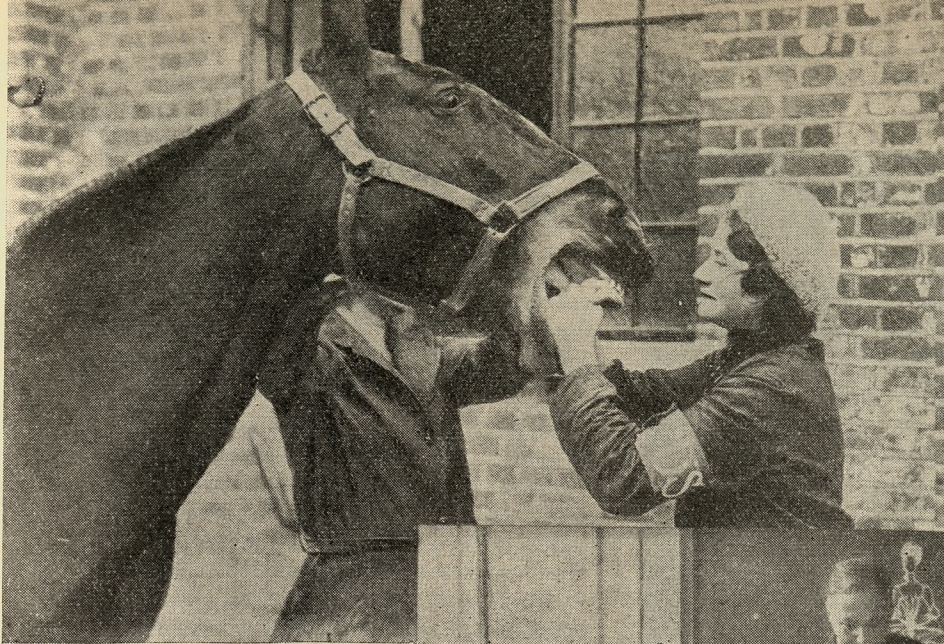
Dalej widzimy praktyczny wykład kostjumologii któremu z zainteresowaniem przysłuchują się przyszłe mistrzynie sztuki krawieckiej.

Tuż obok nich, ta skulona jejmość w kraciastym kaftanie i



męskich spodniach, badająca przez okulary zawartość miednicy, to... poszukiwaczka złota, przepiókująca drogocenny piasek.

U dołu widzimy lotniczkę, która uczy się sterowania aeroplanem na specjalnym aparacie, a na prawo panią Lindbergh, po przebyciu lotu w mroźny dzień.



Wreszcie nadchodzi moment ostatecznej niemocy: bohaterska kobieta wali się na ziemię; ale i wtedy nie ustępuje losowi: czołga się na czworakach i ciągnie za sobą bezwładne ciało.

W tym momencie dostrzega ją z aeroplanu lotnik włoski; ląduje i chce zabrać oboje rozbitków, tylko, że, niestety, chory już nie żyje! Signora Barresi nie pozwala oderwać się od ciała i dopiero posterunek policji na wielbłądach sprowadził ją do miasta.

NIEZWYKŁA SKROMNOŚĆ.

Istnieje w Marokku Instytut higieny, posiadający liczne laboratorja.

Fakt ten wydaje się pozornie bez znaczenia i nie wzbudza szczególnego zainteresowania kobiet.

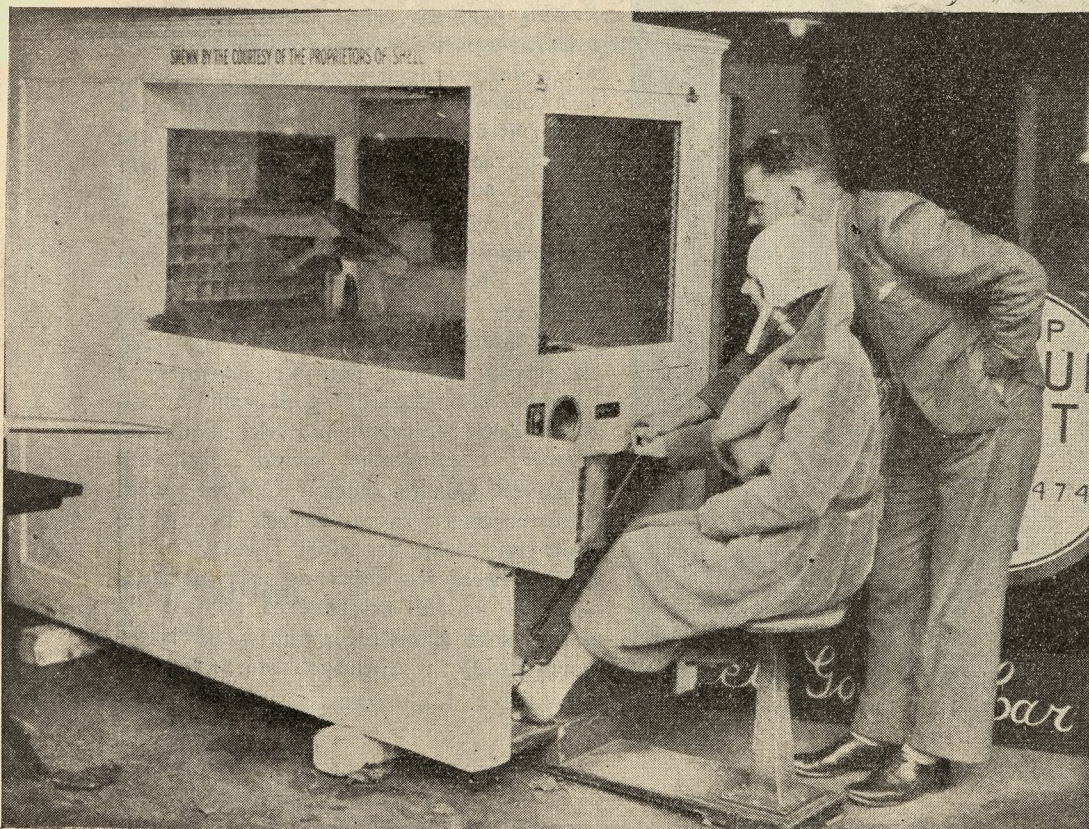
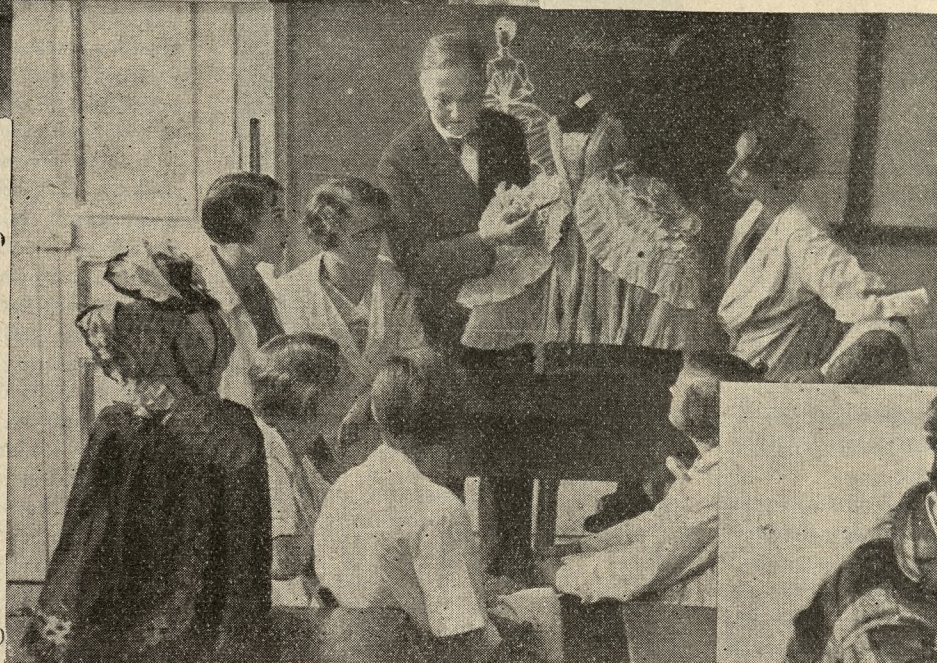
40 KILOMETRÓW PRZEZ PUSTYNIĘ Z CIAŁEM KONAJĄCEGO MĘŻA NA BARKACH

Niedawno przybyła z pustyni Libijskiej do portu śródziemnomorskiego Bengazi, karawana wioząca nawpółprzytomną ze znużenia i prawie obłąkaną Europejkę, signorę Rozalję Barresi, która podróżowała z mężem po kraju piramid i dała się przezeń namówić na dłuższą wycieczkę w głąb Czarnego Łądu.

Pewnej nocy przez szczeliny namiotu turystów przedostał się wąż jadowity i ukąsił pana Barresi.

Nie było czasu do stracenia; noga siniała z minuty na minutę i groziło natychmiasowe zakażenie krwi. Cóż robi pani Barresi, wątła, szczupła kobieta? Chwyta męża na swe barki i niesie, brnąc po piasku, do posterunku policyjnego w najbliższej oazie.

Idzie godzinę dwie, trzy; nogi uginają się pod nią, w oczach tańczą krwawe ogniki. Pozostawiła już za sobą czterdzieści kilometrów rozpalonych piasków, ale jeszcze brakuje drugie tyle.



Tymczasem na czele tych licznych laboratorjów stoją dwie kobiety-lekarki, młode, wesole i uśmiechnięte. Starsza z nich, kierująca wydziałem bakterjologii, badała życie i obyczaje sprawców epidemji w laboratorjach Instytutu marokańskiego, gdzie udało się jej zgromadzić bogatą kolekcję zarażonych szczurów, wszy tyfusowych, pcheł oraz wszelkiego rodzaju mikrobów, znalezionych w najodleglejszych zakątkach, nawiedzonych przez epidemje.

Wyruszała zazwyczaj wraz z asystentami, zaopatrzona w kocioł profilaktyczny, namioty oraz niezbędne lekarstwa, których udzielała chorym, napotkanym w podróży.

W samem Souss energiczna badaczka zdołała złapać 45.000 szczurów i innych gryzoni, aby drogą niezliczonych doświadczeń odkryć bakterje, powodujące zarazę.

Ostatnio dzielnej i niestrudzonej pracownicy zaofiarowano stanowisko naczelnego dyrektora krajowego szpitala w Rabat.

Młodsza, szczupła i elegancka, kieruje pracami laboratorjum anatomji patologicznej.

Ona to właśnie udaje się do Casablanc, by w szpitalach tej dzielnicy dokonywać na chorych kobietach doświadczeń, potrzebnych w jej naukowych pracach. Osiągnęła imponujące rezultaty. 1.500 badań, przeprowadzonych w ciągu trzech lat, wykazało 80% przypadków złośliwego zakażenia.

Te dwie kobiety, które zasłużyły na uznanie całego świata, są nieznane nawet w samem Marokko. Nieznane z własnej woli, żadna bowiem z nich nie chce się zgodzić na odkrycie swego nazwiska. I to zdaje się być największą chwałą feminizmu.



URODZINY JAPOŃSKIEGO NASTĘPCY TRONU.

W tych dniach cesarzowa japońska powiła syna. Miała przedtem trzy córki, z których jedna umarła, jako półroczne dziecko. W chwili, kiedy następcą tronu przyszedł na świat, rozległ się w stolicy przeraźliwy ryk syren. Zgromadzone tłumy oczekiwały z upragnieniem drugiego sygnału, gdyż jeden oznacza urodziny księżniczki, dwa — syna.

ZASŁUBINY KSIĘŻNICZKI GRECKIEJ.

W zamkowej kaplicy w Seefeld pod Monachjum odbył się ślub hrabiego Karola Teodora Törring-Jettenbach z księżniczką grecką Elżbietą. Uroczystość ślubna zgromadziła licznych książąt krwi, greckich, włoskich i niemieckich.



Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Stawiski i reorganizacja. — Energia francuskiego premiera. — Dygresje dogodne dla przeciwników. — Krótka pamięć opinii. — Odmłodzenie metod i idei politycznych przez Polskę.

Oszukańcza afera Stawiskiego była dla Francji czemś więcej, niż sensacją. Stała się bowiem chwilowym wstrząsem. Może nawet nie chwilowym, bo zakrzątnięto się natychmiast około — reorganizacji. To słowo odrazu objęło wiele dziedzin administracyjnych, gdy tymczasem ulica zapalczywie i nie na żarty demonstrowała przed parlamentem.

Premjer francuski Chautemps okazał jednak dość energii i opanował sytuację w parlamencie, zapowiadając bezwzględna akcję i oczyszczenie atmosfery. Niebieskie ptaki i aferzyści, wciągając w swoje nieczyste sprawy wybitne osoby z rządu i prasy, podkopują zaufanie do władz. Chautemps oświadczył: — Nikogo nie będziemy osłaniać, winni pójdą pod sąd! — Zaczem mer Bajonny powędrował do więzienia, a lekkomyślny minister komunikacji podał się do dymisji. Ale to jeszcze nie wszystko, skoro kręgi afery Stawiskiego dopiero zaokrąglają się w toku śledztwa. Samobójstwo przestępcy nie uratowało wszystkich współwinnych, utrudniając jedynie rozwijanie tego namotanego kłębaka.

W tej trudnej sytuacji, w jakiej znajduje się teraz Francja na terenie międzynarodowym, sprawa Stawiskiego jest przykrem i nieporęcznym wydarzeniem. Zapach jej będzie niewątpliwie przeszkadzał w Genewie, mimo, że światu idzie, mówiąc patetycznie, o życie i śmierć. Wiadomo jednak, że dygresje wysuwają się na pierwszy plan, zwłaszcza, gdy przeciwnik potrafi je zręcznie wyzyskać.

Natomiast stracenie Lubbeego przestało już być atutem w postępowaniu przeciw Niemcom, opinja rozporządza bowiem krótką pamięcią. Dziś widzi świat polityczny — postawę Niemiec, jawnie i czynnie protegowanych przez włoski faszyzm. Z niepokojem, ze ściśniętym sercem czeka świat na to, jak Francja obroni swoje słuszne racje i jak daleko będzie musiała posunąć swoją ustępliwość.

W tej chwili, kiedy między Francją i Niemcami rozstrzyga się spór, nietylko o zasadę równouprawnienia zbrojeń, co o przewagę siły, prasa francuska z całą świadomością wskazuje na Polskę, jako na główny czynnik polityki pokojowej w Europie. „Le Moment“ podkreśla, że minister Beck wniósł do polityki międzynarodowej odmłodzenie metod i idei politycznych. Cóż to znaczy? Oto, że polski minister spraw zagranicznych kieruje się rzeczywistością, że widzi sprawy takimi, jakie są i z każdego objawu chętniej woli potrafi osiągnąć to, co jest dla dzisiejszego stanu rzeczy najważniejsze — normalizację wzajemnych stosunków.

H. N.

PRZYRODA I TECHNIKA

JAK POWSTAJE JEDWAB SZTUCZNY?

Niedawne to były czasy, kiedy pogardzałyśmy jedwabiem sztucznym. Przed kilkunastu laty uważano bowiem, że tkaniny z tego materiału są tandetą, nie lepszą niemal od materiałów z pokrzywy. To mniemanie podtrzymywali w nas fabrykanci bawełny, widząc w jedwabiu sztucznym groźnego konkurenta dla swego produktu. I nie omylili się, dzisiaj bowiem w każdym prawie domu jedwab sztuczny odgrywa rolę niepoślednią. Wprawdzie istotnie moc jego nie dorównywa połowie mocy bawełny, wrażliwość na wilgoć jest nieporównanie większa, ale... w dobie powszechnej nietrwałości i niesolidności jedwab sztuczny jest jeszcze materiałem o niezwykłej wytrzymałości... Ba, dzisiaj dystansuje on nawet swego szlachetnego, a wysoce cenionego przeciwnika, jakim jest jedwab naturalny. Nic zresztą w tem dziwnego: produkcja jedwabiu prawdziwego wymaga bardzo wielu zachodów przy wyhodowaniu jedwabników, pielęgnowaniu dla nich morwy, a dalej, przy samem wytwarzaniu przędzy. Sztuczny jedwab powstaje znacznie szybciej i taniej, jak to zaraz zobaczymy.

Właściwie pomysł stworzenia sztucznej przędzy powstał dość dawno, bo pierwszy na pomysł wytwarzania jego wpadł Hook już w XVII-tym wieku, obserwując, jak jedwabniki ze swej śliny skręcają kokony. Wykonanie jednak jego pomysłu, polegającego na stworzeniu

kleistej masy, z której można będzie wytworzyć nić, przyszło dopiero w otatnich dwudziestu latach.

Najpierw zaczęto fabrykować jedwab sztuczny z bawełny. Sposób ten polegał na potraktowaniu odpadków bawełnianych kwasem azotowym, który, nitrując ją, w ten sposób stwarzał materiał wybuchowy, znany powszechnie pod nazwą bawełny strzelniczej, która właściwie już bawełną nie była, a jedynie kłaczkową masą, która po rozpuszczalnikach dawała ową kleistą masę, o której w swoim czasie marzył Hook. Aby pozbawić jedwab sztuczny niewygodnych w życiu cywilnym własności wybuchowych, materiał ten ulegał t. zw. *denitracji*, w przeciwieństwie do procesu traktowania kwasem azotowym, zwanego *nitracją*.

Obecnie sposób wytwarzania jedwabiu sztucznego zapomocą nitracji prawie zupełnie zarzucono i wyrabia się go zupełnie inaczej. Celulozę, powstałą przez miażdżenie drzewa i wyługowanie masy, moczy się jeszcze raz i otrzymaną pulchną wilgotną papkę poddaje się w specjalnych aparatach działaniu siarczku węgla, który ją sulfuruje, zabarwiając jednocześnie na kolor ciemno-żółty. Jest to jeszcze masa sypka o niemiłej woni. Przez dodanie odpowiednich odczynników masa ta zamienia się w oleistą ciecz, podobną z barwy i konsystencji do miodu lipcowego.

Nasz miodek zlewany jest do koryt, któreimi spływa do lejków, a z nich sączy się cienką strużką, która ma tę ciekawą własność, że na po-

wietrze krzepnie. Mamy więc już nić, która po przejściu przez płyn ścinający ją jeszcze silniej nawija się na walec. Nitka ta jest jeszcze zbyt krucha i żółta. Należy więc poddać ją mnóstwu różnych zabiegów, przez wielokrotne płókanie jej w wodzie, napowietrzanie, oraz chlorowanie. Te zabiegi noszą nazwę desulfuracji. Dzięki nim przędza nabiera połysku i miękkości.

Oczywiście nie można dotychczas osiągnąć takiej miękkości, jaką posiada jedwab naturalny. To też odbywają się stale próby, celem osiągnięcia jak największej cech, zbliżonych do jedwabiu szlachetnego, choć właściwie jedwab sztuczny więcej jest podobny do bawełny, niż do jedwabiu, jeżeli chodzi o jego własności fizyczne. A więc jest on dobrym przewodnikiem elektryczności, odwrotnie, jak jedwab naturalny; posiada również dobre przewodnictwo cieplne i stąd pochodzi wrażenie chłodu, jakie otrzymujemy przy dotknięciu jedwabiu sztucznego.

Nitki jedwabiu sztucznego są skręcane, podobnie jak nici bawełny lub wełny, ale powierzchnia tych nici jest zbyt równa, zbyt wymuska nana, aby można było otrzymać równie ścisły materiał, jak z tamtych materiałów.

W tkaninach jedwab sztuczny zdołał wyprzeć bawełnę nawet już z takich zakątek, jakim jest bielizna stołowa, ale obecnie bodajże największe zastosowanie ma w połączeniu z wełną i bawełną, nadając im bardzo ładny połysk i utrudniając wycieranie materiału.

Inż. Emer-ska.

NA ŚNIEG I SŁOŃCE

TATR POLSKICH I CZECHOSŁOWACKICH

15-dniowa wycieczka zbiorowa od dn. 1 do dn. 15 lutego b. r. bez paszportów i wiz do światowej sławy uzdrowisk

Zakopanego,

Tatrańskiej Łomnicy

Smokowców

Szczyrbskiego Jeziora

KOMPLETNE KOSZTY 275 ZŁ.

15-dniowa wycieczka do Zakopanego od dn. 1 do dn. 15 lutego b. r.

KOMPLETNE KOSZTY 170 ZŁ.

ZCŁOSZENIA PRZYJMUJE ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”, WARSZAWA, PLAC ZAMKOWY 9.
TEL. 2-59-40.

OGRODNICTWO I HODOWLA

INSPEKTY

Inspekty są nieodzownym dopełnieniem naszego ogródka, bez względu na to, czy to jest wielki ogród handlowy, czy też mały ogródek, uprawiany jedynie dla przyjemności. Aby jednak inspekty mogły należycie swą rolę wypełnić, muszą być odpowiednio założone.

Przy zakładaniu inspektów bardzo ważną rzeczą będzie wyszukanie odpowiedniego miejsca t. zn. takiego, które będzie miało: 1) wystawę południową, 2) będzie zabezpieczone od zimnych wiatrów północnych przez należyte osłony ze ścian drzew, żywopłotów i t. p., 3) na gruncie takim, który doskonale wodę przepuszcza.

Osłony muszą być takie, któreby chroniły od strony północnej i zachodniej. Wszystko, coby cieniowało od strony południowo-wschodniej, jest szkodliwe. Inspekty, założone na gruntach podmokłych, są zawsze zimne. Rzosady w nich są wątłe i rosą powoli, przez co stwarzają się wysmienite warunki dla wszelkich szkodników, jak np. czarna nóżka. Ważną bardzo rzeczą będzie ilość i jakość ziemi, używana do skrzyń. Ziemia ta nie może być jałowa, a jednak musi być lekka, przepuszczalna, oraz nie zakwaszająca się, aby młode kielki nie gniły. Do ziemi inspektowej należy zawsze dodać pewien procent piasku i wapna.

Najlepiej jest, jeśli ziemię do inspektów mamy przygotowaną już jesienią. Powinna ona składać się z: 1 części kompostu, 1 części ziemi gnojonej, 1 części darniowej lub liściowej i 2 części piasku. Na każde okno daje się od 25—40 dkg. wapna.

Skrzynia inspektowa składa się z ramy prostokątnej, przykrytej oknami, ściśle dopasowanymi. Dla przeciwnego ogródka wystarczy zupełnie skrzynia dwuokienna. Skrzynię zbija się z czterech desek sosnowych, grubych na 2 cale i szerokich na 12 cali, długość jej dostosowujemy do ilości okien. Skrzyni nie należy pociągać farbą, ani karbolineum, gdyż to utrudnia przewiewność i działa trująco na roślinki.

Dobre okno inspektowe powinno być lekkie, wykonane z suchego drzewa sosnowego, dla trwałości starannie zagruntowane pokostem z dodatkiem minji i następnie dokładnie oszlone i okitowane. W celu zabezpieczenia okien przed mrozem i śniegiem okrywamy je matami. Maty te powinny być przynajmniej o pół metra większe, niż skrzynia, aby doskonale mogły osłaniać boki. Maty muszą być wykonane z grubej, żytniej słomy.

Najodpowiedniejszą porą do zakładania inspektów jest koniec stycznia. Najlepszym materiałem będzie świeży nawóz, średnio słomisty, wzięty z pod dobrze żywionych koni. Na skrzynię dwuokienną trzeba go mieć średnią furkę parokonną. Przystępując do zakładania inspektów, trzeba sobie wytyczyć dokładnie miejsce, gdzie stanie skrzynia, tak, aby nawozu było o pół metra więcej. Nawóz powinien wystawać na 35 cm. z każdej strony. Rogi wytyczonego miejsca zaznaczamy sobie kółkami, wbitemi w ziemię. Nawóz musi być rozkładany równą warstwą grubości około 60 cm. Robotę tę należy wykonywać, cofając się w tył, aby nie stąpać po rozkładanym nawozie.

Gdy całe miejsce zostało wyłożone nawozem, należy go równo miejsce obok miejsca udeptać. Czynność ta musi być wykonywana dopóty, póki się pod stopami nie wyczuje jednolitej zbitej masy.

Teraz wstawiamy na nawóz skrzynię pochyło ku południowi. Aby tę pochyłość uzyskać, podstawiamy pod nią od strony północnej trzy cegły z każdego rogu.

Całe wnętrze skrzyni wypełniamy znów nawozem, który doskonale ugniatamy, zwracając uwagę na to, aby nie było szpar między dnem skrzyni a podkładem. Teraz robimy okład z nawozu dookoła skrzyni i nakrywamy ją oknami, a następnie matami i zostawiamy wszystko na 4 dni w spokoju, aby się osiadło. Dwa razy dziennie podnosimy okna, aby się przewietrzyło.

Gdy nawóz sfermentuje doskonale i przez to wytworzy się dostateczna ilość ciepła, przystępujemy do zapelnienia skrzyń ziemią. Ziemia musi być odpowiednio zmieszana, jak to już wspominałam wyżej, przesiana przez gęstą rafkę.

Przed sypaniem ziemi jeszcze raz udeptujemy nawóz w samej skrzyni. Ziemi powinno być tyle, aby utworzyła warstwę od 20—25 cm. Trzeba uważać, aby między oknem a powierzchnią ziemi zostało około 5 cm. luzu. Jest to narazie zupełnie wystarczające, gdyż zanim rośliny posiane wszędzie lub rozpikowane podrosną, luz ten znacznie się powiększy, osiadzie się bowiem zarówno ziemia, jak i nawóz.

W razie, gdyby rozsądzie było za ciasno, można skrzynię na kilka cm. podnieść. Zostawianie odrazu większych przestrzeni jest bardzo szkodliwe, gdyż powoduje wyciąganie się ich, skutkiem czego otrzymujemy rozsądę wątłą i trudno znoszącą przesadzanie.

Po nasypaniu ziemi nie można odrazu przystępować do siewu, a trzeba poczekać najlepiej dwie doby, aby się ziemia doskonale ogrzała. Po dwudziestu czterech godzinach od chwili nasypiania ziemi trzeba ją doskonale łopatą przerobić, tak, aby górna warstwa znalazła się na dole i odwrotnie.

Następnie przy pomocy małych grabi grabimy równiutko, a potem uklepujemy ziemię płaską deseczką.

Zwracamy jednocześnie uwagę na to, aby od strony południowej ziemia sięgała na wysokość 5 cm. od górnego brzegu deski, a od strony północnej na 10 cm.

Do inspektu, przygotowanego w ten sposób, możemy wysiać nasionka, będąc pewnym powodzenia hodowli — ale o siewie następnym razem.

Marzenna Saryusz-Stokorska.

KALENDARZYK OGRODNICZY

Kwiaty w styczniu

Okres odpoczynku dla kwiatów jest bardzo ważny, od tego czy przebieg jego jest prawidłowy, zależy dalszy rozwój rośliny. Trzeba pamiętać o następujących rzeczach:

1. Temperatura pokoju musi być równa.

2. Kwiaty muszą mieć bezwzględny spokój i bez koniecznej potrzeby nie należy ich przestawiać.

3. Podlewać należy bardzo ostrożnie, to zn. tylko wtedy, gdy ziemia jest zupełnie sucha. Wodę z podstawaek należy starannie zlewać.

4. Kurz i zepsute powietrze są takim samym wrogiem rośliny jak i człowieka. Z plagami temi należy walczyć usilnie. Wietrząc mieszkanie, należy baczyć, aby pęd zimnego powietrza nie wiał wprost na roślinę. Raz na tydzień sprawiamy kwiatom kąpiel przy pomocy rozpylacza.

W połowie stycznia niektóre rośliny, jak np. kaktusy członkowate, hortensje, kamelje, azalje, kliwje i t. p., okrywają się pąkami. Gdy te pąki dobrze się wykształcą, trzeba rośliny przenieść do cieplejszego pokoju, ustawić w pełnym świetle i zwiększyć dawkę wody.

DZIAŁ PORAD

Otvieramy dział porad ogrodniczo-hodowlanych. Prosimy czytelniczki o kierowanie wszelkich pytań z tej dziedziny do Redakcji „Bluszczu” do działu „Ogrodnictwo i hodowla”.

DOM I GOSPODARSTWO

BYWAMY I PRZYJMujemy

Te dwie „funkcje” życia towarzyskiego są związane ze sobą w solidną całość, jak ogniwa dobrze złączonego łańcucha. Kto bywa, ten musi przyjmować; kto przyjmuje, ten „bywa” siłą logicznego rozpedu.

Kiedy nadarza się odpowiedniejsza pora do korzystania z gościnności ludzkiej i płacenia pięknem za nadobne, jak nie w karnawale? A karnawał roku bieżącego jest tak krótki, że nie pozwala nam tracić czasu na rozważania: tak, czy nie? Musimy się zdecydować błyskawicznie i zdecydujemy się na korzyść karnawału.

Nie doradzam paniom bynajmniej lekkomyślnego karnawałowego szaleństwa. Byłoby ono napewno wrogiem naszych budżetów, a do wyzywania wroga nigdy namawiać nie należy. Będziemy zatem bywały i przyjmowały w zakresie naszych możliwości, w zakresie naszych budżetów, a to nie jest bynajmniej tak trudne, jakby się napozór zdawało. Kontakt z ludźmi, szczególnie, jeżeli wśród nich umiemy sobie dobrać takie grono, z którym intelektualna wymiana przynosi obustronne dorobki, jest pozycją życiową nie do bagatelizowania.

Karnawał to punkt kulminacyjny życia towarzyskiego.

Bawiłyśmy się u innych, musimy stworzyć teren zabawy u siebie. Ale w jakiej formie?

Przedewszystkiem nie w formie bezkrytycznego „obżarstwa”. Moda na „obżarstwo należy do tych walorów, które się wpisuje pod rubrykę: „tempi passati”.

Dzisiaj, kusząc otoczenie nadmierną ilością smakowitych dań, nie idziemy po linii przyzwyczajęń i upodobań człowieka współczesnego, przeciwnie, zmuszamy go do zadania gwałtu nie tylko upodobaniom, ale i głęboko wpojonym, zaadoptowanym przekonaniom.

Trzeba mieć coś więcej, coś daleko cenniejszego do dania swoim gościom, jak ciężki, obezwładniający dosyt gastronomiczny, którego nie zalicza się już dzisiaj do życiowych rozkoszy.

Ważną rzeczą natomiast będzie oprawa. Nakrycie jak najstaranniejsze, wykwinne nie wspinałością zastawy, ale kultura, no i atmosfera swobodnej, nienarzucającej się gościnności, ta specjalna atmosfera uprzywilejowania, dozowana równomiernie pomiędzy wszystkich gości.

Otoczenie, w jakim przyjmujemy, nie jest też sprawą drugorzędną. Nie mam tutaj na myśli salonów, ani apartamentów reprezentacyjnych. Każdy przyjmuje w swoich ścianach i nikt nie powinien „dla gości pozować”.

Ludzie cenią sobie ponad wszystko szczerotę, prostotę, a gdyby pozujący wiedzieli, jak odmienne od pożądanego wywołują wrażenie, zrzekliby się napewno raz na zawsze swoich wadliwych systemów.

Jeżeli mówimy o otoczeniu, to można je stworzyć w bardzo szczupłym mieszkanku, a może go brakować w licznych, pięknych komnatach. O wszechstronnej, wyczerpującej recepcie mowy tutaj być nie może. Są środowiska, niezależnie od warunków materialnych „przytulne”, ciekawe, są znów takie, w których zawsze umiera się z nudy, albo marznie, gdyby nawet ponował upał tropikalny.

Więc pozostawiając na boku nieuchwytną, a jakże ważną atmosferę, emanującą z tych, którzy „tworzą dom”, pomyślmy o sprawach zewnętrznych: o dostatecznym i ładnym oświetleniu (w mrokach snują się zawsze minorowe nastroje), o świeżem, wystarczająco, a nie za silnie ogrzanym powietrzu, o estetyce wnętrza i wygodzie gości.

W imię tej właśnie wygody należy liczyć na to, że przysłowiowa polska gościnność rozszerzy ściany do bajkowych rozmiarów. Spraszanie nadliczbowej ilości osób piętrzy zawsze trudności, zarówno przed nimi, jak i przed gospodarzami. Zresztą pewien umiar ilościowy pozwoli nam na dokładniejszą selekcję, to znaczy na dobór grona ludzi, którzy, dzieląc wspólne upodobania, będą się zawsze dobrze czuli i zachowują jak najmiłsze wspomnienie ze spędzonych u nas kilku godzin.

Dzisiaj jest wprawdzie jeden niezawodny łącznik towarzyski, zacierający wszelkie różnice. Tym łącznikiem jest bridge.

Ale że niema wogóle jednostronnych medali, więc i ten ma niestety dwie strony; łącząc w dziewięćdziesięciu wypadkach, w dziesięciu rozбивa wspólnotę towarzyską. Bo trudno o nieszczęśliwsze ofiary, jak ci zablakani „niegrający” w gronie zapamiętałych graczy.

Trzeba zatem postarać się o na-

danie przyjęciu wyraźnego charakteru: albo — albo.

Albo spokojny bridge, król wszechsezonów, albo karnawałowe szaleństwo w takt takiej, czy innej muzyki.

Jest jeszcze inne wyjście z tej sprawy: rozbitcie towarzystwa na dwa odrębne grona: zapewnienie bridge'a istotom spokojnego rezerwatu, a karnawałującym paniom wystarczającej ilości partnerów do tańca, nie grożących dezercją. Tylko, że na to trzeba mieć duże mieszkanie i środki materialne, dopuszczające kosztowne przyjęcie.

Jaki rodzaj przyjęcia z punktu widzenia kulinarnego jest najłatwiejszy do zorganizowania?

Oto pytanie, na które odpowiedź będzie zawsze nieznana.

Przyjęcie zimne o typie bufetowym?

Przemawia za niem wiele punktów, a mianowicie: łatwość przyrządzenia wszystkich dań zawczasu; możliwość obycia się bez większej ilości dobrze wyszkolonej służby; swoboda, z jaką pani domu może korzystać z towarzystwa swoich gości, pewna, że wszystko stoi na wysokości zadania i nie wymaga już jej osobistej interwencji.

Czy zimny bufet nie jest kosztowniejszy od gorącego przyjęcia?

Zależy to od tego, jak go zastawimy. I tu i tam nie brak rozległego pola dla fantazji (i wydatków), jeżeli nie będziemy umiały „wziąć się w cugle”, a ta umiejętność jest dzisiaj nieodzowna.

Przyjęcie, jeżeli ma całkowicie osiągnąć swój cel pożyteczno-przyjemnościowy, musi być ściśle zamknięte w ramach naszego budżetu. Gehenna poprzyjęciowych nastroi z szeregiem luk w budżecie, albo, co gorsze, niemożnością wyrównania zaciągniętych zobowiązań, to niedobór, na który w dobrze zorganizowanym życiu współczesnej pani domu nie może być miejsca.

Wanda Dobrzańska.

ZIMNY BUFET

SKROMNIE.

Napoje: wódka czysta — nalewka słodka — piwo jasne i ciemne — woda sodowa.

Cielęcina na zimno.

Szynka gotowana.

Pasztet domowy.

Sos oszczędny majonezowy.

Salatka z jarzyn.

Salatka z surowej kapusty włoskiej.

Ogórki z konserwy.



KOSMETYCZNA PIERWSZA LECZNICA

Dr. med. M. BIERNACKIEJ i INY KISIELEWSKIEJ, Szopena 16.

Usuwanie wad kosmetycznych. Leczenie włosów.

Barszcz w filiżankach — paluszki z ciasta francuskiego, albo kruchego.

Deser.

Salatka ze świeżych owoców.

Tort kawowy (domowy).

Faworki (domowe).

Herbata — czarna kawa.

DOSTATNIO.

Napoje: Wódka czysta z lodu — nalewki domowe — Vermouth — wina krajowe: białe i czerwone.

Barszcz — diablutki.

Szynki, wieprzowa i cielęca z jarzynami, żalane galareta.

Sos tatarski.

Rozbief po angielsku, krajany na duże, cieniutkie plastry.

Salata zielona — salata z cykorji.

Majonez z sandacza.

Ozór peklowany.

Chrzan z octem.

Salatka z rydzów kiszonych.

Salatka z jarzyn.

Rydze i grzyby marynowane.

Drób na zimno.

Borówki — kompoty z Wecka.

Tort orzechowy (domowy).

Mandarynki, jabłka, winogrona.

Czarna kawa — likier.

WYKWINTNIE.

Napoje: Wódka czysta, starka, koniak, nalewka słodka, Vermouth. Wina francuskie: białe i czerwone. Do deseru wino węgierskie. Do czarnej kawy likiery. W kilka godzin po kolacji w czasie tańca — cocktail'e.

Dwa dania gorące, ustawione pośrodku stołu:

Pasztet na gorąco zapiekany w cieście — sos maderowy.

Grzyby z Wecka w śmietanie.

Dania zimne:

Majonez z sandacza.

Majonez z pulard.

Rostbief po angielsku — sos remoulade.

Szynki: wieprzowa gotowana, wieprzowa surowa.

Szynka cielęca gotowana.

Salatka z jarzyn.

Salatka po włosku z orzechami.

Prosię gotowane w galarecie — chrzan surowy ze śmietaną.

Combry zajęcze, krajane w plastry, ułożone na kości.

Borówki — sos Cumberland.

Indyk pieczony — salata zielona — kompoty z Wecka.

Owoce — torty domowe.

Czarna kawa.

Lody mandarynkowe, przybierane waflami.

Cocktail'e.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SALATKI.

SALATKA Z KARTOFLI I JARZYN.

1/2 kilograma kartofelków sałatkowych (znanych w handlu pod nazwą „rogalki“) ugotować w łupinach, ostudzić, obrać.

Najaktualniejsze

wiadomości sportowe
z całego świata
podaje ilustrowany

„PRZEGLĄD SPORTOWY“

Ukazuje się
w poniedziałki
i czwartki

Cena
groszy 50

Pół główki włoskiej kapusty poszatko-
wać bardzo cieniutko, sparzyć, odsączyć.
2 duże jabłka kuchenne winkowate obrać,
wydrążyć środki, pokrajać w kosteczkę,
zaciśnąć sokiem cytrynowym, żeby nie
straciły koloru

1 duży ogórek z konserwy, 10 dużych
rydzów marynowanych, 10 korniszonów
poszatkować drobnutko.

2 marchewki obgotowane w rosole po-
krajając na cieniutkie paseczki.

Wycisnąć sok z dwóch cytryn, dodać:
5 kostki buljonu, rozpuszczone w możli-
wie najmniejszej ilości wody, 5 łyżki wy-
borowej oliwy stołowej, dużo siccancj zie-
leninki, cukru i soli do smaku.

Wymieszać wszystkie przygotowane ja-
rzyny i marynaty, połączyć zaprawą, znów
wymieszać, złożyć na salaterkę. Przekroić
dużą cebulę na cztery części, włożyć ją
wgląd sałatki w równych odstępach. Wy-
nieść do zimnej spiżarni, niech tak stoi
dwie, do trzech godzin. Przed wydaniem
na stół wyjąć cebulę, wymieszać jeszcze
raz sałatkę, przełożyć na głęboką szklaną
salaterkę, ugarniować po wierzchu list-
kami sałaty, albo małeńkimi grzybkami i
rydzami marynowanymi, posypać siekaną
zieleninką.

SALATKA WŁOSKA Z ORZECHAMI.

Dwie szklanki jąder orzechów wło-

DO ROBOT
RĘCZNYCH
WŁÓCZKI WĘLNY
„TROJKAT W KOLE“



35 DOSKONAŁYCH
GATUNKÓW W
1539 KOLORACH

skich sparzyć wrzątkiem, obrać z wierzch-
niej skóreczki, podzielić na ćwiartki.

25 kartofelków sałatkowych ugotować
w łupinach, wystudzić, obrać, pokrajać w
niezbyt cienkie (ale nie grube) plasterki.

6 jabłek sztetyn obrać ze skórek, wy-
drążyć środki, pokrajać w zręczne pasecz-
ki. Wszystko to ułożyć na szklanej sala-
terce, wymieszać, zalać sosem majonezo-
wym, rozprowadzonym białem winem kra-
jowym i zaciśniętym sokiem cytrynowym.
Po wierzchu posypać siekaną natką od
pietruszki. Trzymać w zimnie 2 — 3 go-
dzin przed wydaniem na stół.

SALATKA Z SUROWEJ KAPUSTY WŁOSKIEJ.

Sporą główkę pięknej, jędrnej kapusty
włoskiej poszatkować bardzo cieniutko.
Przygotować zaprawę z soku cytrynowego,
wyborowej nicejskiej oliwy stołowej;
posolić ją do smaku, wsypać odrobinę cu-
kru.

2 duże jabłka winkowate pokrajać w
bardzo cienkie, niezbyt długie paski, wy-
mieszać z szatkowaną kapustą, połączyć sa-
łatkę oliwą z sokiem cytrynowym, wymie-
szać. Pozostawić w chłodzie kilka godzin,
aby się doskonale zmacerowała.

SALATKA Z OWOCÓW (oszczędna).

Proporcja na 10 osób (koszt w przybli-
żeniu zł. 6.—).

6 dużych jabłek deserowych, 4 cytryny,
cukier-puder, 20 dkg. szeptalów, 20 dkg.
rodzynek sultanańskich, 5 dkg. orzechów
włoskich (jąder), 3 pomarańcze.

Wymyć czysto rodzynki. Zalać letnią
wodą. Po upływie pół godziny odsączyć na
sittku.

Szeptaly wymyć w kilku wodach, wło-
żyć do rondelka, zalać wrzątkiem, raz za-
gotować i odlać wodę. Osączone wyłożyć
na miseczkę, zalać ciepłą wodą przegoto-
waną, przykryć. Pozostawić tak na prze-
ciąg trzech godzin.

Pomarańcze obrać ze skórek i włókien,
pokrajać w cieniutkie plasterki, pocukro-
wać, postawić w chłodzie.

Wycisnąć i precedzić sok z 4 cytryn.

Orzechy postrugać ostrym nożykiem na
wiórki.

Kiedy wszystko już jest gotowe, obrać
jabłka, wydrążyć środki, kłaść do wody,
zaciśniętej sokiem cytrynowym, aby nie
straciły koloru.

Poszatkować jabłka w cienkie, niewiel-
kie plasterki, albo w paseczki, szatkując,
skrapiać sokiem cytrynowym i przesypy-
wać cukrem-pudrem.

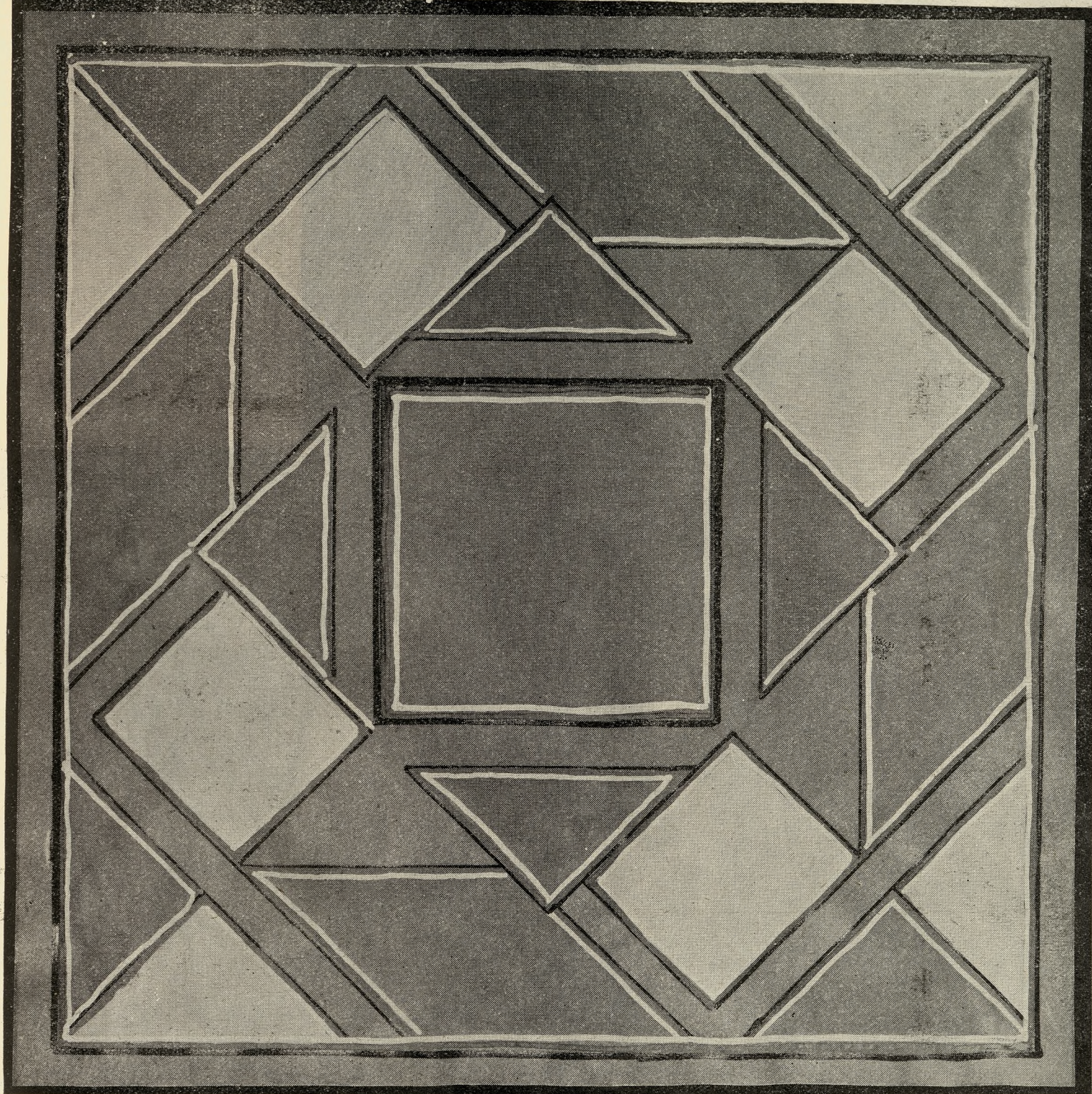
Układać sałatkę warstwami na kryszta-
łowej salaterce, dając: warstwę jabłek,
warstwę pomarańcz, warstwę krajanych
w paseczki szeptalów. Każdą warstwę po-
sypywać rodzynkami i struganymi orze-
chami. Na wierzchu przybrać rodzynkami,
szepałami, osączonymi z syropu konfitu-
rami i struganymi orzechami. Skrapiać (u-
kładając) likierem marascino, winem, ko-
niakiem, zaleźnie od upodobania. Można
też wcale nie dodawać alkoholu. Gotową
sałatkę postawić w zimnie na kilka godzin.
Podawać bardzo zimną. *Melbo.*

HAFT KOLOROWY NA SZAREM PŁÓTNIE

Kontury ścięciem gałzkowym.

Płaszczyzny haftowane ścięciem koralowym
(patrz arkusz wzorów).

J. Kobylecka.



Suknia balowa z czarnego i białego satyn, widziana z przodu i z tyłu. Sortie z białego satyn, obszyte czarnymi lisami.

Suknia wizytowa z czarnego satyn, ze stanikiem drapowanym z przodu u góry i w pasie.

Suknia wizytowa z czerwonej mory ze stanikiem drapowanym z przodu, przybranym klipsami. Rękawy przecięte góra.



Suknia wizytowa z czarnej wełny. Karczek przybrany falbanką plisowaną i kołnierzykiem.

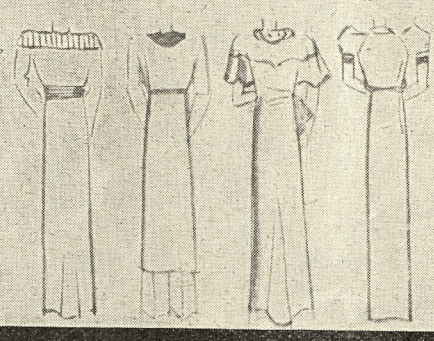
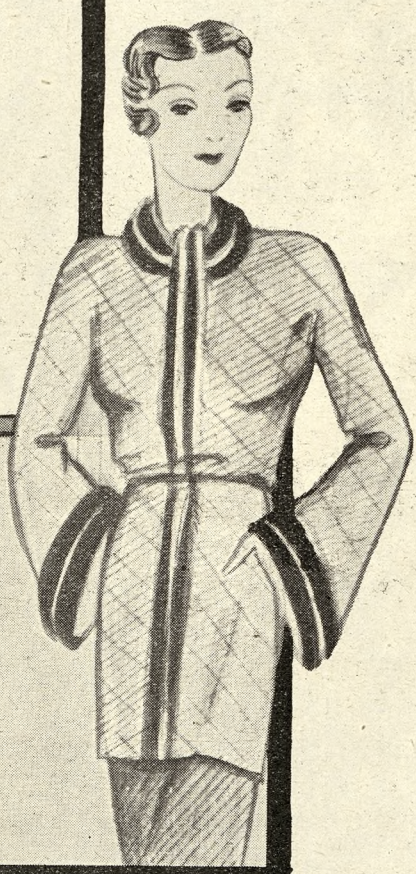
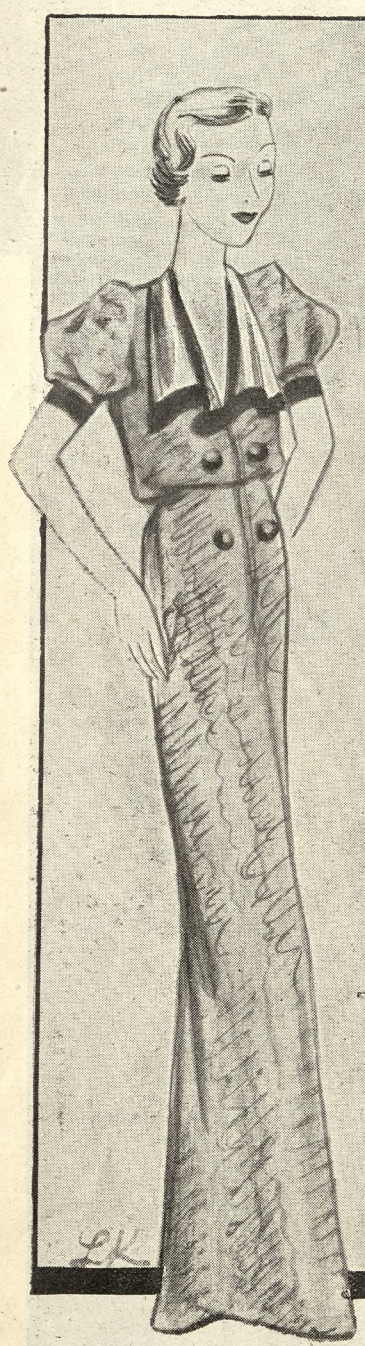
Do tej samej sukni można włożyć pod szyję pęk dużych, białych róż, które osłonią dekolt.

Suknia wełniana przybrana dokoła pach rulonami z lisa.

Kołnierz z lisa, włożony do tej samej sukni, umożliwia noszenie jej na ulicę.



*Szlafrok z wełny deseniowej lub z jedwabnej flanelki.
 Szlafrok z wełny ponsowej, przybrany fularem w grochy.
 Pyjama z długą bluzą z flanelki w paski.
 Szlafrok wełniany, przybrany aksamitem.
 Bluza z jedwabiu pikowanego na flanelce, przybrana futerkiem.*

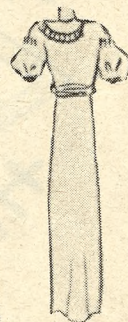
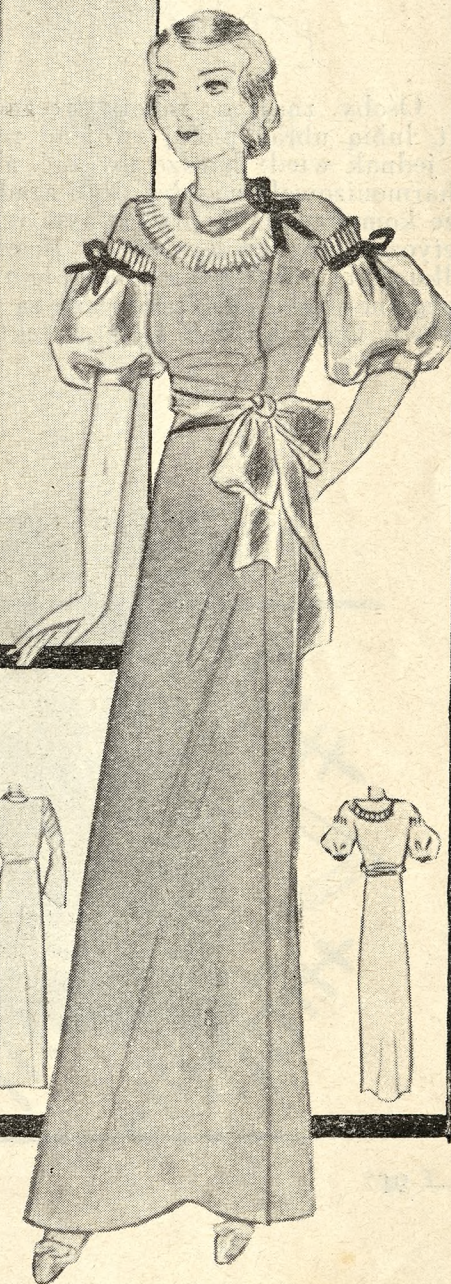


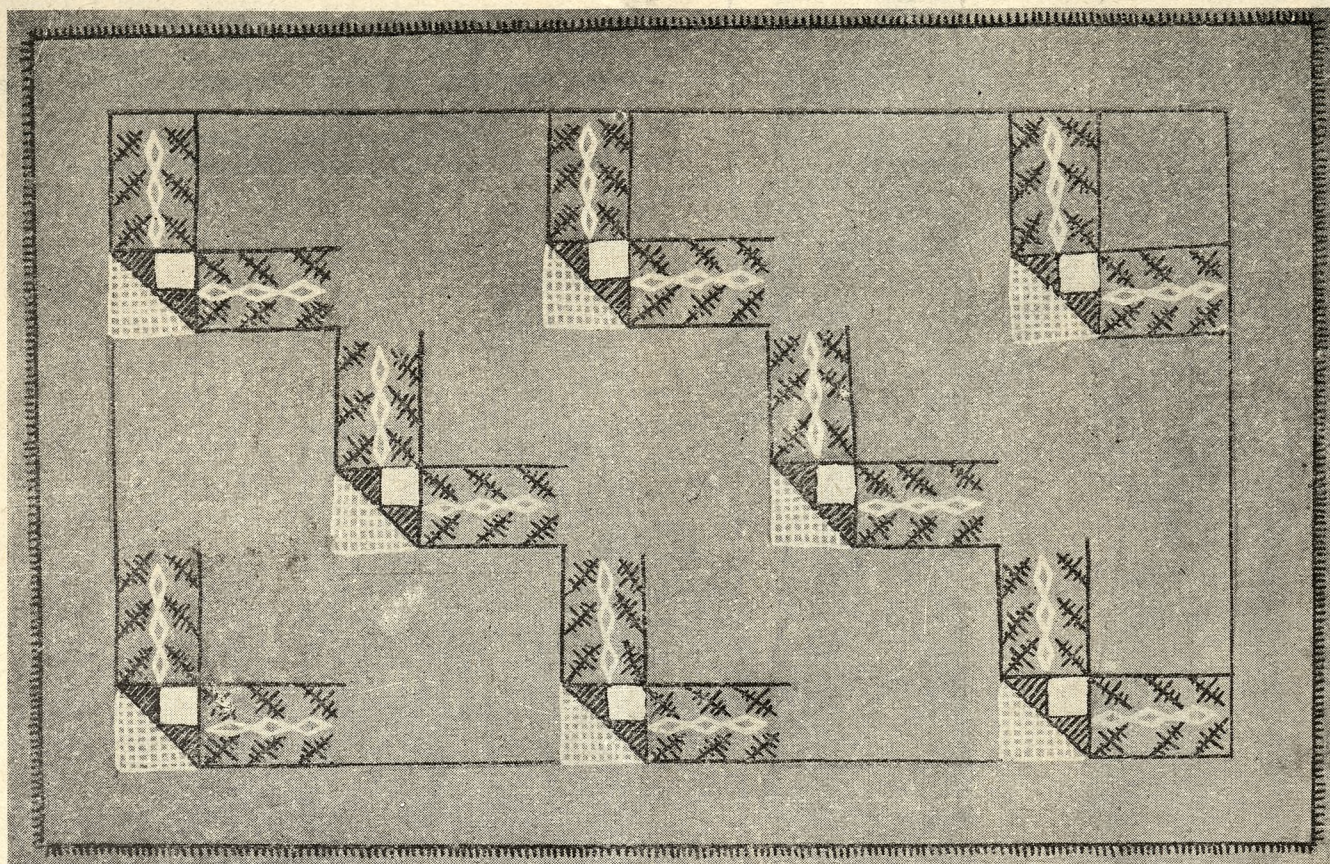
LK



Szlafrok z flaneli double face.
Pyjama z długą bluzą, przybrana stebnowaniem.
Domowy kaftanik z welwetu, z rękawami w formie pe-
rynki.

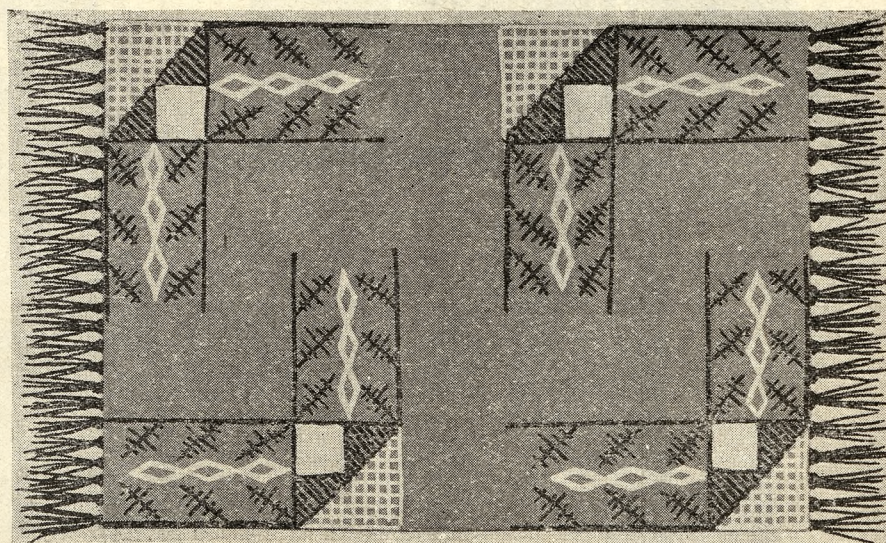
Szlafrok z welwetu w grochy.
Szlafrok z wełny i jedwabiu w dwóch cieniach.





Osoby, znające roboty ręczne, a zwłaszcza haft, lubią ubrać pokój swojemi robótkami. Muszą jednak wtedy bardzo uważać, aby te ich prace harmonizowały ze sobą, czyli zgadzały się w kolorze kompozycji. W przeciwnym razie będą razić estetyczne oko. Najlepszym wyjściem w tym wypadku jest wyhaftowanie kompletu, którego poszczególne części skomponowane są z tego samego motywu. Daje to całość bardzo efektowną i bogato

ubiera pokój. Podany komplet składa się z makatki, poduszki i serwetki. Wykonany jest na szarem, ludowym płótnie, wełną w kolorze rdzawym i zielonym. Nadaje się do gabinetu męskiego. Ten sam komplet może być wyhaftowany na samodzielowej wełnie, będzie wtedy bardziej przypominać kilim. Makatka i serwetka wykończone są ścięciem dzierganym w kolorze rdzawym. Wykończenie poduszki stanowi frendzla też w kolorze rdzawym.

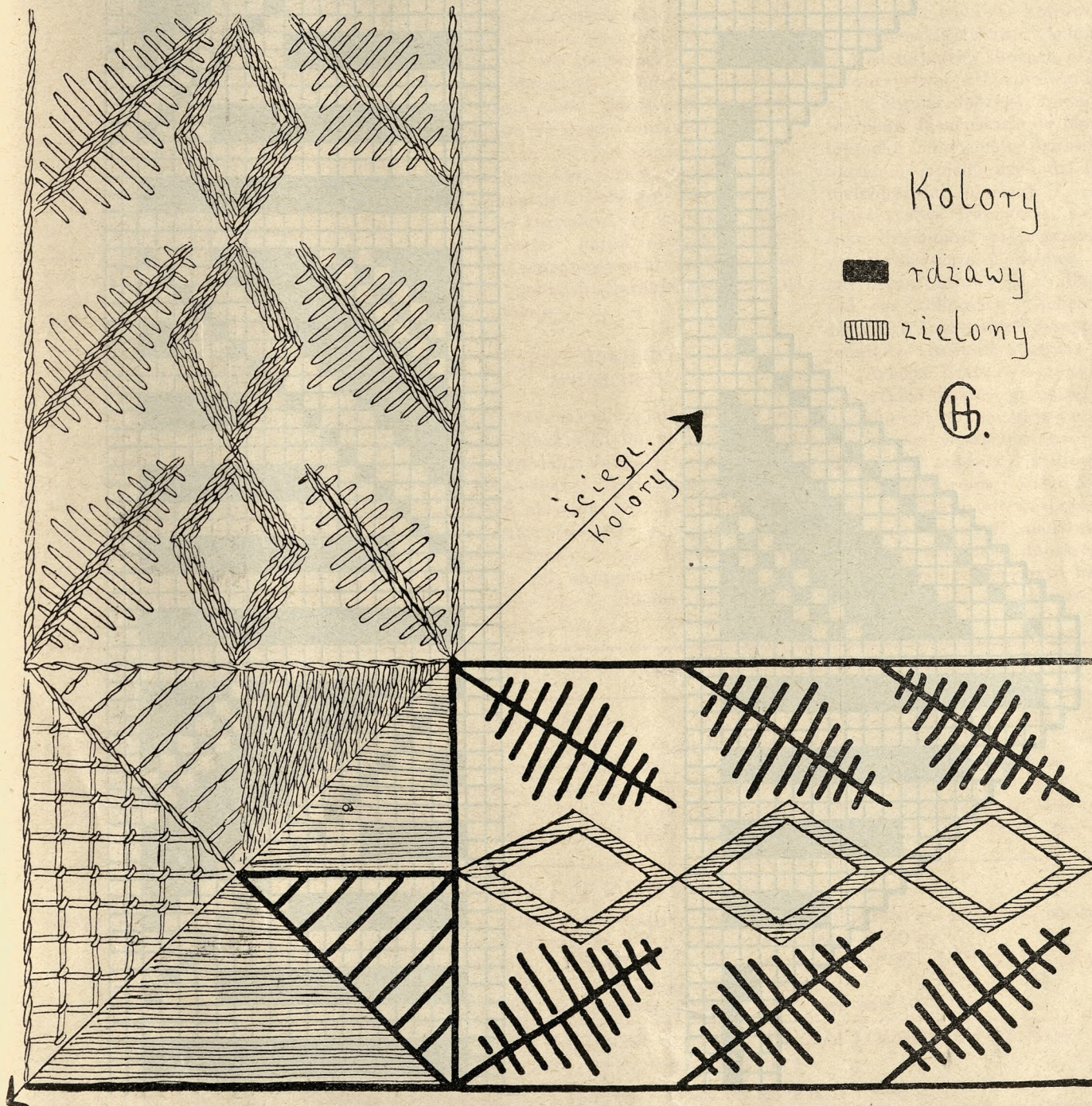
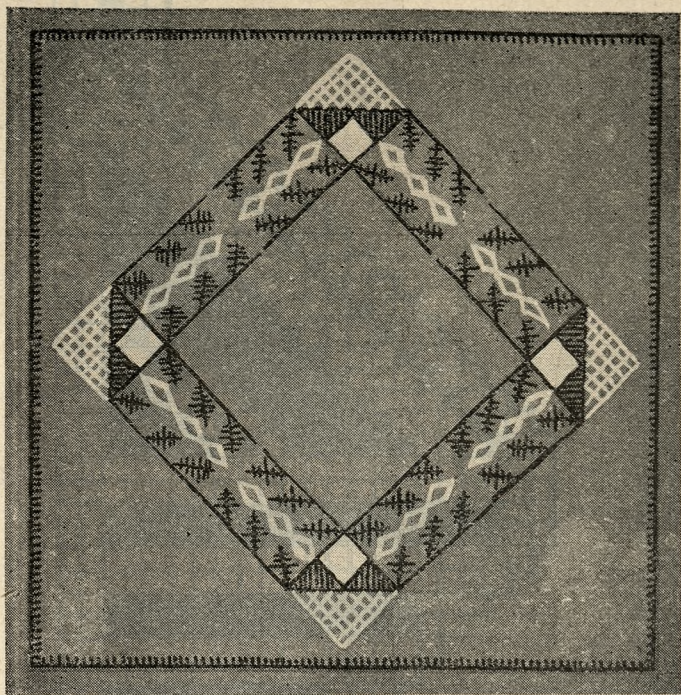


Fragment naturalnej wielkości objaśnia nam rozłożenie barw i ściegi, którymi jest haft wykonany. Robota makatki może się nam wydać monotonna, gdyż powtarzamy na niej aż ośm razy ten sam motyw. Możemy ją sobie urozmaicić przez zmianę miejsca kolorów. Należy wtedy haftować naprzemian, jeden motyw z rozłożeniem kolorów podanym na rysunku technicznym, a drugi sąsiedni z odwrotną zmianą kolorów, czyli tam, gdzieznaczony jest rdzawy kolor, dać zielony i odwrotnie.

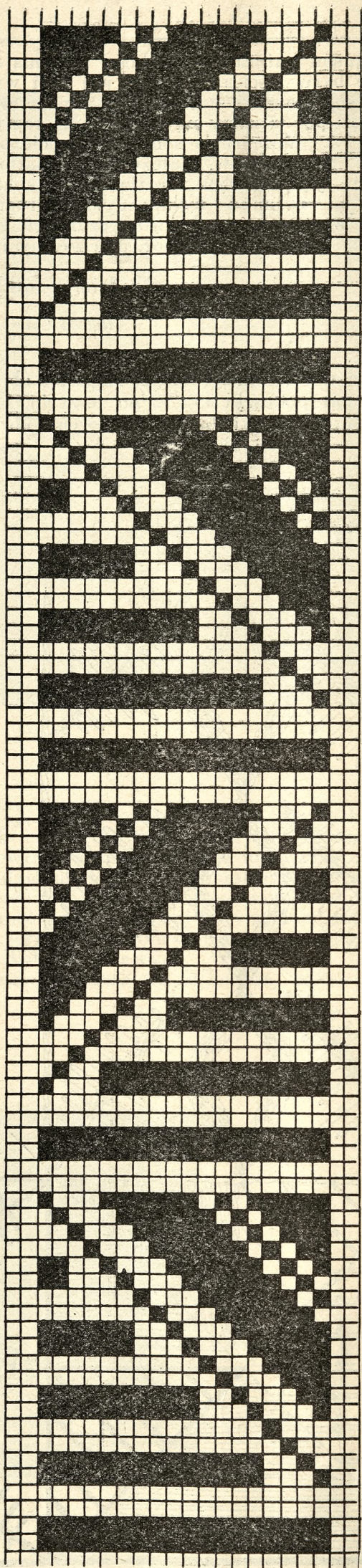
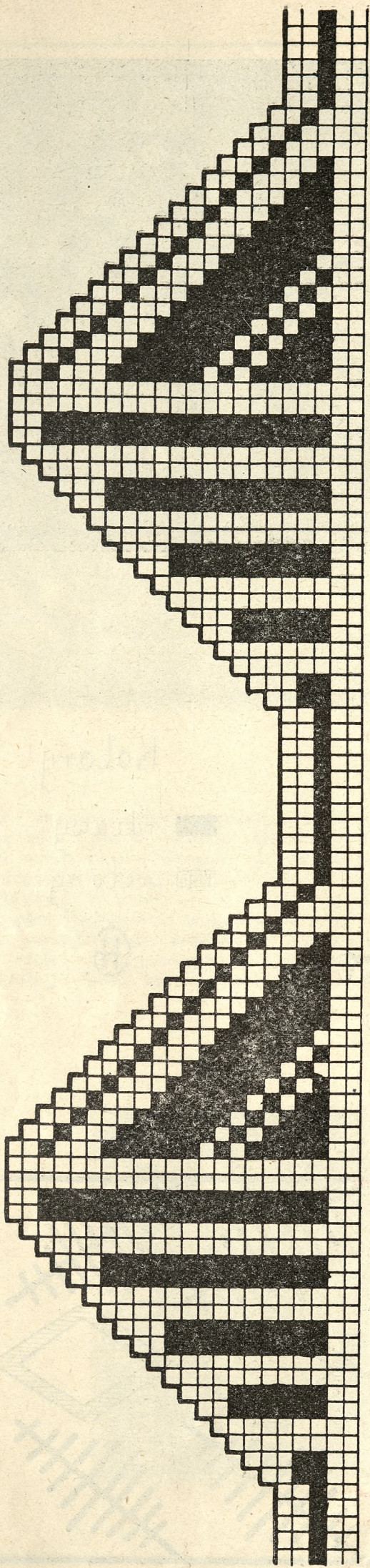
W serwetce i w poduszce radzimy rozkładu kolorów nie zmieniać.

Helena Gawrońska.

Rozmiar makatki 110×74 po założeniu obrębu.
Rozmiar poduszki 43×32 po zeszyciu.
Rozmiar serwetki 56×56 po założeniu obrębu.



W sławka i koronka, wykonane szydełkiem z kordonku, którego grubość zależy od tego, do jakiego celu będą one użyte.



KOLONJE DLA DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

W 5-tym roku organizacji kolonij i półkolonij dla dzieci szkół powszechnych, Rada Szkolna położyła nacisk: 1-o na podwyższenie kontyngentu dzieci na półkolonjach przy jednoczesnym zmniejszeniu ich ilości na kolonjach, 2-o na doprowadzenie do minimum wydatków bez uszczuplania jednak jakości i ilości posiłków, oraz zmniejszenia opieki nad dziećmi.

W wyniku, pomimo bardzo ciężkich warunków, w jakich organizowano kolonie i półkolonie, umieszczono łącznie 6.804 dzieci (kolonie — 1689, półkolonie — 5.115), mniej więc o 125 dzieci, t. j. 2 proc. niż w roku ubiegłym (kol. 5.120, półkol. 5.809). Koszty utrzymania (bez odpisów na amortyzację) wyniosły 188.529 zł. 74 gr. w porównaniu do takichże kosztów w ub. roku w sumie 296.505 zł. 41 gr. zmniejszyły się o 108.024 zł. 55 gr., tj. o 36 proc.

Wagowy przyrost dzieci wyniósł przeciętnie 1,6 kg. na kolonjach, 0,8 kg. na półkolonjach. Posiłek dzienny dostarczał dziecku ponad 3.000 kaloryj na kolonjach i ponad 1200 kaloryj na półkolonjach.

Dzieci wysyłane w bieżącym roku były naogół dużo drobniejsze i węższe niż dawniej, po zakończeniu jednak pobytu poprawiły się znacznie, a szczegółowe badania lekarskie stwierdzają bardzo dobry stan zdrowia i odporności dzieci, powracających z kolonij czy półkolonij.

Wysiłki Rady Szkolnej w kierunku jak najoszczędniejszego przeprowadzenia akcji kolonjalnej ilustruje tablica porównawcza głównych działów wydatków za kilka lat, z której wynika, że żywienie kosztowało w 1931 r. 174 grosze na dziecko dziennie, stanowiąc 45,4 proc. ogółu wydatków, w 1932 r. kosztowało 121,7 gr. i stanowiło 52,2 proc., wreszcie w 1935 r., przy koszcie 89 gr. osiągnęło 56,6 proc. ogółu kosztów.

Koszty opieki na dziecko dziennie wyniosły kolejno w 1931, 32 i 35 r. — 59 gr. (15,4 proc.), 46,6 groszy (20 proc.) i 26,5 gr. (16,8 proc.), wreszcie administracja kosztowała na dziecko dziennie w 1931 r. 150 gr., w 1932 — 95 gr. i w 1935 — 41,7 gr., stanowiło to odpowiednio 59,2 proc., 27,8 proc. i 26,6 proc. całości wydatków.

KOLONJE ZIMOWE DLA DZIECI.

W związku z dłuższymi ferjami w okresie Bożego Narodzenia Rada Szkolna m. st. W-wy zorganizowała dla dzieci szkół powszechnych kolonję zimową w Małkini, na którą przyjęto z górą 500 dzieci. Znaczną większość tych dzieci wysłano bezpłatnie dzięki zasiłkowi udzielonemu przez Komisarjat Rządu, reszta pojechała za opłatą 25 zł. stanowiącą 50 proc. kosztów utrzymania i przejazdu.

PASTORAŁKI DLA DZIECI SZKOLNYCH.

W okresie poświęconym Rada Szkolna uzyskała za pośrednictwem Wydziału Opieki Społecznej Komisarjatu Rządu 1000 bezpłatnych biletów wejścia do teatru Reduta na „Betlejkę polską“.

HOJNY DAR NA FUNDUSZ SZKOLNICZ TWA POLSKIEGO ZAGRANICĄ.

W listopadzie b. r. hrabia Jakób Potocki, właściciel dóbr Helenów, po powrocie z zagranicy odwiedził Pana Marszałka Senatu, Władysława Raczkiewicza, któremu wobec zamknięcia subskrypcji na Półrocznik Narodową wręczył sumę zł. 50.000, jako dar na cele społeczne.

Pan Marszałek Senatu przekazał wspomnianą sumę Zarządowi Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą.

Ten hojny dar jest szczęśliwym zapoczątkowaniem tegorocznej zbiórki na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą. Umożliwi on Zarządowi tej instytucji zaspokojenie części najpilniejszych potrzeb szkolnych poszczególnych środowisk zagranicą i pobudzi ofiarność społeczną na cele Funduszu.

Z WARSZAWSKIEGO KLUBU WIOSŁAREK.

Dn. 11 grudnia ub. r. odbyło się Walne Zebranie członkiń Klubu, na którym przyjęto sprawozdania Zarządu, Komisyj i Sekcyj, sprawozdanie Rewizyjne i udzielono Zarządowi absolutorjum. Przyjęto preliminarz budżetowy.

Nowowybrany Zarząd Klubu ukonstytuował się, jak następuje:

Prezeska — Dr. Z. Zabawska-Domosławska, wice-prezeska — Dr. Antonina Jurje-

wicz i Aniela Kukszówna; Naczelniczka Przystani — Halina Kożuchowska, wice-naczel. przyst. — Anastazja Brühlowa i Stefanja Ostrowska; Sekretarka — Janina Płoska; Zast. sekretarki — Janina Tuwanówna; Skarbniczka — Anna Zacharjasówna; Zast. skarbniczki — Aniela Piętkowska; Protokółantka — Stefanja Szydłowska; Gospodyni lokalu — Anna Kellerówna.

ZAGRANICA POPIERA WYTWÓRCZOŚĆ KRAJOWĄ.

5 hasel bojowych „Achetez Français“.

Walka z brakiem uświadomienia gospodarczego społeczeństwa!

z inercją administracji!

z przemytem i nadużyciami celnymi!

z nieuczciwymi roszczeniami zagranicy do ciężko uciulanego grosza obywatela-nabywcy francuskiego!

z sofizmatami wolnego handlu!

— oto 5 hasel bojowych, wysuniętych przez stowarzyszenie francuskie „Achetez Français“. Celem stowarzyszenia tego jest propaganda i obrona krajowej wytwórczości francuskiej. Statut „Achetez Français“ w następujących słowach określa zadania Towarzystwa: „Ugruntowanie, rozszerzenie i obrona dobrego imienia wszystkich wyrobów francuskich (w Metropolji i kolonjach), odnowienie poniechanych, podniesienie zaniedbanych działów krajowej wytwórczości rolniczej i przemysłowej. Towarzystwo francuskie, rozwijając szeroko działalność propagandową, plakatową, wydawniczą i prasową, posiada własny organ prasowy p. n. „Bulletin de Maison des Adherents „Achetez Français“ (Biuletyn Francuskich Sympatyków i Zwolenników „Achetez Français“).

„Achetez Français“ grupuje wytwórców wszystkich działów przemysłu i rolnictwa, dla których sprawa staje się zwiększeniem pojemności wewnętrznego rynku francuskiego dla produkcji krajowej.

W samoobronnej walce o ochronę własnej, krajowej wytwórczości, prowadzonej pod barwami państwowymi, obok sztandaru włoskiego, duńskiego, łotewskiego, obok dumnej chorągwi brytyjskiej powiewa również trójkolorowa flaga francuska.

KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. FOTO-CHEMIGRAFICZNYCH TOW. WYD. „B L U S Z C Z“.

TREŚĆ NUMERU: Lenistwo do życia — Wanda Borudzka. Jak być szczęśliwym w małżeństwie — Magdalena Samozwaniec Kochanek z pomnika — Zofja Reutt-Witkowska. Dom na Pradze — Zofja Miszewska. Podwarszawscy pionierzy — Jerzy K. Maciejewski. Dziewczęta Trzeciej Rzeszy — H. K. Czwarty salon zimowy w Ipsie — S. P. O. Poezje: „Odkocznia!“ — Jadwiga Korczakowska. Jak pracują kobiety — St. Osińska. Angielka — pani domu — Olga Tchórznička. Z teatrów — S. P. O. Kobieta w świecie i w domu. Z ubiegłego tygodnia — H. N. Jak powstaje jedwab sztuczny — Inż. Emer-ska. Inspekty — Marzenna Saryusz-Stokowska. Bywamy i przyjmujemy — Wanda Dobrzańska. Zimny bufet — Melba. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie — 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy“ — Warszawa, Solec 87 i Pl. Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

W y d a w c a: Tow. Wydawnicze „Bluszczy“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

Dział robót pod kierownictwem JADWIGI KORZENIOWSKIEJ.

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszczy“, Warszawa, Solec 87.

Wszystkim paniom
polecamy książkę p. t.

Pielęgnowanie chorych w domu

gdyż znajdują w niej doskonałe wskazówki i liczne ilustracje, ułatwiające wykonanie zabiegów.

Wyd. Życie
Praktyczne

Cena 1 zł.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Warszawa
plac Zamkowy 9 i Solec 87.

Konto P.K.O. 13.555.

GÓRSKIE SŁOŃCE STYCZNIOWE

Opala mocniej niż lipcowe
Nie zapominaj o tem
Zabierz z sobą w góry

KREM SPORTOWY

M. MALINOWSKIEGO

WARSZAWA

Apteka, ul. Nowy-Świat 31.

Lab. Chem. Farm., ul. Chmielna 4.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH DROGERJACH
I APTEKACH W POZNANIU.

Nie wszystkiego musimy się wyrzec

z chwilą możliwości zaradzenia sobie
w dziedzinie rękodzielnictwa.

„JA TO ZROBIĘ“

pismo poświęcone robotom ręcznym, daje bogaty materiał i uczy dokładnie haftu, koronki, robót z wełny, bielizniarstwa, drobiazgów ze skóry, praktycznie wychowuje, rozwija zainteresowanie do rzeczy pięknych i pożytecznych. Miesięcznie tylko 1 zł. w prenumeracie z dodatkiem tablicy robót.

EGZEMPLARZE OKAZOWE WYSYŁA ADMINISTRACJA PO
OTRZYMANIU ZNACZKA POCZTOWEGO ZA 30 GROSZY.

**Redakcja i Administracja: Warszawa,
plac Zamkowy 9 i Solec 87.**

Egzemplarze pojedyncze w cenie 50 gr. są do nabycia we wszystkich kioskach z czasopismami: **Konto P.K.O. Nr. 15.880**